

**Paula Detmer Riggs**

# **Człowiek honoru**

## Rozdział 1

Latem dzień pracy w dolinie Wenatchee w stanie Waszyngton *zaczyna*, się o brzasku. Sadownicy wychodzą z domów wcześniej, zanim jeszcze zerwie się wiatr, a pakowacze w ogromnych halach, w których magazynuje się gruszki i jabłka, zabierają się do roboty skoro świt.

W miasteczku Cashmere bar był już pełen, choć dopiero dochodziła siódma. Zapowiadał się jeszcze jeden upalny, sierpniowy dzień. Mężczyźni pochylali się nad dymiącymi talerzami. Zachowywali się hałaśliwie, prowadzili głośne rozmowy, nie przebierając w słowach. Kobietom to nie przeszkadzało. Narzekały, jak zawsze, na dzieci i brak pracy.

Jeden z mężczyzn siedział samotnie w kącie sali. Maksymilian Kaler nie był ani pakowaczem, ani sadownikiem, choć w ciągu swych czterdziestu siedmiu lat życia robił już i jedno, i drugie.

Miał na sobie czerwony podkoszulek, szorty w kolorze khaki, buty turystyczne i grube wełniane skarpety.

Przebywał więcej na powietrzu niż w domu. Był opalony na brąz, a miękkie blond włosy sięgające kołnierza wydawały się przy ciemnej twarzy niemal białe. Głęboko osadzone błękitne oczy połyskiwały metalicznym blaskiem.

Przy swoich stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu nie uchodził za szczególnie wysokiego w okolicy, która od pokoleń słynęła z rosnących mężczyzn, ale szerokie ramiona i potężna klatka piersiowa sprawiały, że nawet największy osiłek dwa razy by się zastanowił, zanimby go zaczepił.

– Słyszałam, że miałeś wrócić wczoraj, Kale.

Rumiana twarz Belle Steinert rozjaśniła się w macierzyńskim uśmiechu, gdy stawiała przed nim talerz z naleśnikami.

Belle dobiegała siedemdziesiątki, ale nie przyznawała się do tego. Prowadziła ten bar od zawsze. Kaler przyzwyczał się już do jej gburowatego i trochę apodyktycznego sposobu bycia. Czuł się tu dobrze, zwłaszcza wtedy, gdy doskwierała mu samotność. Być może dlatego jako dziecko spędzał więcej czasu u Belle niż we własnym domu.

Tutaj zawsze mógł znaleźć spokojny kąt, by poczytać, i dość jedzenia, by zaspokoić swój niepokohamowany apetyt – z dala od wrzasku dzieci z sąsiedztwa i krzyków ich wiecznie zapracowanych rodziców.

Spośród tych, którzy znali i pamiętali jego rodzinę, tylko Belle wiedziała,

dlatego wrócił do Wenatchee po dwudziestu trzech latach nieobecności. I tylko ona była świadkiem, jak próbował zapisać się na śmierć, a potem robił co mógł, by zapomnieć o wszystkim i ułożyć sobie jakoś życie.

Był teraz kimś w rodzaju przewodnika w tym dzikim, pięknym i niebezpiecznym kraju. Życie w dolinie było ciężkie, ale dawało poczucie swobody, dla którego większość mężczyzn gotowa była poświęcić wszystko. Każdego dnia powtarzał sobie, że powinien być wdzięczny losowi.

„Zwolniony” – widniało w jego aktach personalnych w kwaterze głównej amerykańskiego urzędu celnego w Waszyngtonie. Większość jego kumpli sadziła, że powinien być piekielnie szczęśliwy, bo nie musi tkwić na tej służbie do końca życia.

– No dobrze. Był szczęśliwy.

Tutaj czuje się posmak wolności, myślał, podnosząc do ust lodowate piwo. Było gorzkie i mocne, właśnie takie, jakie lubił. Od dwóch tygodni nie brał do ust alkoholu, toteż nagle poczuł się tak, jakby w pusty żołądek wstrzyknięto mu adrenalinę.

– Dokąd się tym razem wybierasz? – zapytała Belle.

– Do Granitowego Jeziora. – Odstawił piwo i podniósł do ust widelec. Jeszcze do wczoraj miał pod opieką grupę bogatych księgowych, którzy chcieli połowić sobie ryby przy jednym z najdalszych wodospadów.

– Myślałem o tym, żeby jesienią załatwić sobie trochę wolnych dni. Może wtedy naprawiłbym dach i uprzątnął sad. Kto wie, może nawet zasadziłbym parę drzew – zamyślił się.

– Jeśli będziesz miał trochę czasu, to lepiej wybierz się gdzieś, gdzie jest ciepło, na przykład na jedną z tych wysp na morzach południowych, które stale pokazują w telewizji – zaproponowała Belle.

– Staram się oderwać trochę od turystów, a nie stać się jednym z nich – odparł zdecydowanie.

– Za dużo przebywasz sam. Zjawiasz się w mieście tylko po to, żeby zjeść u mnie naleśniki.

– No cóż, każdy mężczyzna potrzebuje trochę rozpusty.

Odchylił się do tyłu i wyjął cygaro. Zanim jeszcze zdążył sięgnąć po zapalnik, Belle wyrwała mu je z rąk i schowała do kieszeni fartucha.

– Ejże, oddaj! – zaprotestował, rzucając wściekłe spojrzenie w kierunku sąsiedniego stolika, skąd dobiegł go głośny śmiech.

– Uważaj, Kale. Zanim się obejrzysz, ona wciśnie cię w garnitur i zacznie

codziennie golić! – zawołał jeden z pakowaczy.

– Oj, chłopcy, chłopcy, zawsze macie pstro w głowie. Pora już, żebyście znaleźli sobie jakieś miłe, wyrozumiałe kobiety, na których będziecie mogli wyładowywać swoje humory. – Belle niewiele sobie robiła z uwag swoich gości.

– Kobiety nie wysłuchują złych humorów mężczyzn. One są ich przyczyną – powiedział Kaler zastanawiając się, czy zdoła jakoś odzyskać swoje cygaro.

– Być może nie trafiłeś jeszcze na właściwą.

– A może wcale jej nie szukałem?

Wiedział, że – prędzej czy później – większość kobiet chce więcej niż sama może dać. Zaangażowania, stałej obecności, uczuć. To wprawdzie różne słowa, ale wszystkie znaczą to samo. Prędzej czy później, każda kobieta chce miłości.

Raz mu się to już w życiu zdarzyło. Jako chłopak w ogóle nie zauważał koleżanek z klasy, a jako nastolatek musiał dbać przede wszystkim o pełny talerz dla rodziny. Randki nie były mu w głowie. Młodsze siostry ostrzegały go, że jak kiedyś wpadnie, to po uszy. No i nie pomyliły się. Miał wtedy trzydzieści pięć lat. Miłość zaskoczyła go całkiem niespodziewanie, ale tak jak w przypadku innych spraw, w które się angażował, tak i tym razem dał z siebie wszystko. Kiedy cała historia się skończyła, długo nie mógł dojść do siebie. Nie zagojone rany wciąż się jątrzyły.

Rozmyślenia o przeszłości przerwało mu nagle głośnie trzaśnięcie drzwiami.

Do baru weszło dwóch mężczyzn w roboczych kombinezonach i brudnych czapkach.

– Dzisiaj mamy stek z frytkami! – zawołała Belle w ich kierunku.

– Przecież codziennie masz to samo – rzucił wyższy. – Cześć, Kale – dodał na widok Kalera.

– Cześć Fred, cześć Karl.

Obaj mężczyźni byli przez długi czas plantatorami w tej dolinie. Ojciec Kalera, Patrick, nieraz ich wykiwał, mimo to darzyli szacunkiem jego najstarszego syna i uważali go za człowieka honoru. A także za najlepszego w ostatnich latach strzelca w hrabstwie Chelan.

– Słyszałem, że przyjąłeś propozycję Jerry'ego Hansona. Powodzenia.

– Strzelaj pierwszy i nie daj się zaskoczyć – dodał Fred.

– Spokojna głowa. Znam swoje możliwości – odparł Kaler.

– Oczywiście, ale to nie znaczy, że pójdzie ci łatwo.

– A więc to prawda, co słyszałam. – Belle spojrzała na Kalera spode łba.

– Zależy, co słyszałaś.

– Że dzisiaj wyruszasz z powrotem. Ze swoim starym winchesterem i zezwoleniem na odstrzał z zarządu rybołówstwa i myślistwa.

– Miałem trochę wolnego czasu – wzruszył ramionami.

– Akurat. Po prostu nikt inny nie miał na to ochoty.

Belle sięgnęła po gazetę, którą Kaler przyniósł ze sobą, ale której jeszcze nawet nie otworzył.

– W szpitalu w Wenatchee są już dwie osoby.

Chcesz być trzeci?

– Tak, proszę pani.

– Możesz udawać bohatera przed innymi, ale nie przede mną, Maksie Kaler. Ja dobrze wiem, jaki z ciebie w środku mięczak. – W oczach Belle czał się wyraz zaniepokojenia.

Kaler zamyślił się. Niewiele było kobiet w jego życiu, którym pozwalał wtrącać się w swoje sprawy. Jedną była jego matka, drugą Belle. Uważał, że dwie w zupełności wystarczą.

Bezwiednie dotknął szramy nad prawym okiem. Przypomniał sobie pewną noc, kiedy potknął się po pijanemu i leżał z krwawiącym czołem pod drzwiami domu Belle.

Dużo czasu upłynęło, zanim odzyskał poważanie sąsiadów, ale wciąż jeszcze nie potrafił odczuwać szacunku dla samego siebie.

Odwracając myśli od wspomnień, zaczął pomału kartkować gazetę. Zwyczaju czytania w czasie posiłku nabrał już w wieku dwunastu lat. Musiał wtedy przerwać naukę w szkole, by pomagać w gospodarstwie. Tylko w czasie posiłków miał czas na lekturę.

Był już niemal w połowie gazety, kiedy nagle zorientował się, że nie jest sam. Podniósł głowę, przygotowany na widok Belle z kubkiem kawy w ręku. Tymczasem ujrzał niewysoką, ciemnowłosą kobietę w jedwabnej sukience. Lata dyscypliny pozwoliły mu zachować kamienny wyraz twarzy, ale czuł napięcie we wszystkich mięśniach. Przez długą, straszliwą chwilę wydawało mu się, że kobieta stojąca przed nim jak na zdjęciu w kolorowym magazynie wyszła z jednego z jego snów po to tylko, by z niego zadrwić.

Nazywała się Henrietta Elisabeth Leigh Bradbury. W biurze mówił do niej Leigh, w łóżku – Hank.

Dzień zaledwie się zaczął, a ona tryskała już energią i świeżością, począwszy od lśniących ciemnych włosów po czubki eleganckich włoskich pantofli. Jej profil, delikatny jak antyczna kamea, mówił o pokoleniach wytwornych przodków i

wiekach najlepszych tradycji rodzinnych. Bądź co bądź pochodziła z bardzo starego rodu arystokracji z Południa.

Klasa i żelazna wola sukcesu, oto czym była Leigh.

– Cóż ja widzę! Leigh Bradbury we własnej osobie!

Chyba zabłądziłaś? – Kaler bacznie się jej przypatrywał.

Przez ułamek sekundy w oczach kobiety pojawił się wyraz niepewności, ale uśmiechnęła się. Tylko ktoś, kto dobrze ją znał, zauważyłby, że uśmiech był nienaturalny.

– Skądże. Szukałam ciebie. Wolne? – Wskazała na stojące obok krzesło.

– Zależy, co masz na myśli.

– Rozmowę, Kaler. Tylko chwilę rozmowy.

– Przepraszam cię, ale dopiero co rozmawiałem. – Podniósł do ust widelec.

– Pięć minut za bardzo cię nie zmęczy.

Po następnych paru kęsach stracił nagle apetyt. Naleśniki, które były jego ulubionym daniem, nagle nabrały smaku tektury. Ponieważ jednak Leigh go obserwowała, zmusił się, by przełknąć jeszcze trochę, zanim odłożył widelec.

Nie czekając na zaproszenie usiadła, a miękką skórzaną torbę położyła na krześle obok. Poczł delikatny, wytworny zapach. Nie znał nazwy jej perfum i nie znał nikogo poza nią, kto by ich używał. Pamiętał, że perfumowała się za delikatnymi, podniecającymi płatkami uszu, w zagłębieniu szyi, na aksamitnej skórze łokci.

Gdy kończyli się kochać, zawsze czuł na sobie jej podniecający zapach, dopóki nie zmył go prysznic, który zawsze brali razem. Ogarnięty wspomnieniami, z trudem opanowywał własne reakcje. Rozum mówił mu, że nie pragnie już tej kobiety. Ciało jednak domagało się czegoś całkiem przeciwnego.

– A wiec... co u ciebie, Kaler?

– W porządku.

– Słyszałam.

Sprawiała wrażenie, jakby przypatrywała mu się ze szczerym zainteresowaniem. On zaś podniecił się, czując na sobie jej wzrok. Ciekawe, czy pamięta ten pierwszy raz, gdy zobaczyła go w całej okazałości, zastanawiał się. Jak by zareagowała, gdyby ją teraz o to zapytał?

Niewątpliwie powiedziałaaby coś wymijającego i bardzo mądrego, na co nie miałby odpowiedzi. Wiedział, że w potyczkach słownych nie ma z nią szans, jak zresztą nie miał ich nikt, kto nie był wykształcony i kto nie legitymował się tytułem magistra z Georgetown.

Kiedyś wydawało mu się, że to nie ma znaczenia. Teraz już wiedział, że ma. I to duże.

– Nie powiesz mi, że przebyłaś taki kawał drogi z Phoenix tylko po to, żeby dowiedzieć się, co u mnie słycać?

– Nie.

Opróżnił i odstawił na bok kufel. Korciło go, by zerwać ze swymi zasadami i zamówić następny.

– Słyszałem, że wyszłaś za mąż. Gratuluję.

– Edward nie żyje już od dwóch lat.

Cień przemknął po jej twarzy. Kaler nie okazał zdziwienia. Ani też współczucia, którego podświadomie doznał.

– Przykro mi.

– Trudno. Widocznie musiało tak być.

Przez okno wpadł promień słońca, oświetlając jej twarz i piegi, częściowo tylko ukryte pod delikatnym makijażem. Było ich dziewiętnaście. Kiedyś policzył je wszystkie, dotykając językiem.

– Chyba jesteś tu na wakacjach – powiedział z sarkazmem w głosie.

– Zawsze od razu przechodzisz do rzeczy, co?

– W ten sposób nie tracę czasu.

– Przyjechałam, bo potrzebuję twojej pomocy jako przewodnika.

– Już mnie ktoś wynajął.

– Zapłacę tyle, żebyś nie stracił. A nawet więcej. Podaj cenę.

Zacisnął palce na kubku z kawą.

– Nie jestem na sprzedaż.

– A więc wyświadczyć mi przysługę. – Popatrzyła na niego błagalnie. Był to ten sam pełen bólu wyraz twarzy, jaki miała w chwili gdy się rozstawali. Prześladował go długo, w czasie wszystkich pijanych dni i nocy.

– Przez pamięć dawnych czasów, tak?

Kątem oka widział wychodzącą z kuchni Belle. Podeszła do ich stolika.

– Co można pani podać? – zapytała uprzejmie.

– Prosiłabym o filiżankę kawy.

– Właśnie nastawiłam wodę, zaraz będzie. Ze śmietanką i cukrem?

– Nie, czarną.

Odchodząc Belle rzuciła Kalerowi znaczące spojrzenie. Jęknął w duchu. Prędzej czy później będzie się jej musiał wypowiadać. Dobrze, że zmyka w góry. Nawet ona nie odważyłaby się pójść tam za nim.

– Może jeszcze czegoś państwo sobie życzą? Coś do zjedzenia?

– Tylko kawę. – Przeszył ją ostrzegawczym wzrokiem.

– Oczywiście, panie Kaler, już podaję.

Zuchwały uśmiezek Belle nie zrobił na nim wrażenia. W południe i tak już będzie daleko stąd, a więc niech sobie używa do woli.

– Wygląda na to, że wciąż jeszcze zdobywasz sobie przyjaciół i masz wpływ na ludzi – mruknęła Leigh, gdy Belle zniknęła za drzwiami kuchni.

– Już ci kiedyś powiedziałem: zdobywasz to, co sobie zaplanujesz. Wtedy mi nie wierzyłaś. Chciałaś ze mnie zrobić coś w rodzaju urzędnika w miejsce faceta, który wykonuje swoją robotę najlepiej jak umie.

– Nie masz zamiaru ułatwić mi sprawy? – Oczy Leigh zajaśniały złotym blaskiem.

– A są jakieś powody, dla których miałbym to zrobić?

– Jak powiedziałeś, przez wzgląd na dawne czasy.

Sięgnął po cygaro, ale przypomniał sobie, że tkwi ono już od jakiegoś czasu w kieszeni Belle. Odsunął się nieco do tyłu, uśmiechnął.

– Na wypadek gdybyś zapomniała, nie jestem już na służbie, a ty nie jesteś moim szefem.

– Do diabła, Kaler! Nie miałam wyboru! Ile razy mam ci to powtarzać? – Leigh nie była w stanie – opanować wzburzenia. Słyszał jej przyspieszony oddech, widział zarys piersi unoszących się pod cienką, jedwabną bluzką.

– Miałaś wybór! I dokonałaś go! – Ku własnemu zaskoczeniu podniósł głos.

– Powiedziałeś Mendozie, że go zabijesz, jeśli nie zostanie twoim donosicielem! – krzyknęła podniecona. – Co według ciebie miałam zrobić, kiedy się o tym dowiedziałam? Pozwolić ci zamordować tego więźnia?

– Chciałem, żeby myślał, że zginie. Nigdy nie powiedziałem, że go wykończę.

– Przyznałeś, że chciałeś go zwolnić i powiedzieć jego kumplom, gdzie go znajdą, jeśli nie zaczniesz mówić.

– Przecież Mendoza to był zwykły bandzior.

– Ale był twoim więźniem, oddanym przez prawo pod twoją opiekę. Gdybyś z premedytacją wydał go na śmierć, naruszyłbyś to prawo, czyż nie?

– Tak, ale przecież nic takiego się nie stało. A dzięki temu, że ponaginałem trochę te przepisy, których tak namiętnie bronisz, niejeden zbir siedzi teraz za kratkami.

– A więc cel uświęca środki? – Leigh popatrzyła na niego z wyraźnym politowaniem.



– Oczywiście, że tak! Czyżbyś zapomniała, utytułowana panno Absolwentko Uniwersytetów, że toczyliśmy wojnę, wojnę, którą przegrywaliśmy. A mnie nauczono, że na wojnie nie ma żadnych reguł, z wyjątkiem tej, by przeżyć.

– Ale to nie znaczy, że mamy się zniżać do poziomu ludzi, których usiłujemy powstrzymać przed ich złymi postępkami.

– Pani wybaczy, madame. Nie chcielibyśmy, by – powalała pani sobie te delikatne, białe rączki krwią. W żadnym wypadku, madame.

Uderzył pięścią w stół z takim rozmachem, że resztki kawy rozlały się po stole. Rozmowa urwała się i Kaler nagle zorientował się, że wokół zaległa śmiertelna cisza. Ujrzał zdumione twarze mężczyzn.

– Koniec przedstawienia – oświadczył lodowato. W tym samym momencie Belle zbliżyła się do stołu z filiżanką w jednej ręce i dzbanuszką z kawą w drugiej.

– Wy się znacie? – zapytała napełniając filiżankę.

– Oto Belle Steinert, a to Leigh Bradbury. Pani Bradbury była moją szefową.

– Naprawdę? – Belle uśmiechnęła się macierzyńsko. Był to ten rodzaj uśmiechu, który napawa ufnością.

Kaler zachował milczenie, zmuszając tym samym do odpowiedzi Leigh.

– Tak naprawdę to nikt nigdy nie szefował Kalerowi. – Przysunęła bliżej filiżankę.

Czekał. Nie odzywał się. Belle patrzyła to na jedno, to na drugie. Umiera z ciekawości, to pewne, pomyślał. Mogłoby się palić, a nie ruszyłyby się stąd ani na krok.

– Kaler był zawsze legendą służb celnych. Zanim jeszcze go poznałam, wiedziałam już o nim wszystko. Każdy w mojej grupie chciał być przydzielony do okręgu południowo-zachodniego, aby tylko móc z nim pracować – mówiła Leigh popijając kawę drobnymi łyčzkami. Ich oczy spotkały się.

– „Kaler jest najlepszy” mówili nam bez przerwy podczas treningów. „Róbcie to co on, a nie popełnicie błędu” – ciągnęła dalej.

– Dzięki tobie nikt już tak teraz nie powie – odparował.

– Wygląda na to, że macie jakieś nie dokończone sprawy – stwierdziła Belle.

Kaler wstał, rzucił na stół garść drobnych.

– Ja nie – oświadczył stanowczo. – Ja już skończyłem. – Skinął głową Belle, wziął słomkowy kapelusz i wyszedł trzaskając drzwiami.

Leigh wyprostowała się i odetchnęła głęboko. Matka byłaby z niej dumna, pomyślała, uśmiechając się uprzejmie do tej starszej kobiety o dzieciennych oczach.

Opanowanie w obliczu klęski. Oto prawdziwa klasa.

– Sama nie wiem, czemu myślałam, że to będzie proste – powiedziała.

– Przynajmniej trochę nim wstrząsnęłaś, kochanie. Od czasu, kiedy wrócił tutaj siedem lat temu, nikomu się to nie udało. – Belle usiadła na wolnym miejscu i spojrzała na Leigh z nie ukrywaną sympatią.

Leigh przycisnęła ręce do brzucha, żałując, że ściśnięty boleśnie żołądek nie potrafi tak samo udawać opanowania jak twarz.

– Zapomniałam już, jak gwałtownie reaguje Kale, gdy zostanie przyparty do muru – powiedziała.

– Kale niczego nie zapomniał – łagodnie odezwała się Belle. – Nieraz wydaje mi się, że świadomie rozpamiętuje to, co sprawia mu ból.

– A... a pani dobrze zna Kalera? – Leigh wpatrywała się w pulchną, pospolitą twarz siedzącej naprzeciw kobiety. Zamiast potępienia, którego się spodziewała, znalazła w jej oczach współczucie i smutek.

– Na tyle, na ile można go znać.

– Opowiadał pani o mnie? – dopytywała się dalej Leigh.

– Więcej niżby chciał – skinęła głową Belle.

– W takim razie na pewno pani wie, że to ja – kazałam go zwolnić po prawie piętnastu latach nienagannej służby.

– O ile wiem, nie miała pani wyboru.

– Mogłam uznać Mendozę za kłamcę, gdy jego adwokat wniósł oskarżenie przeciwko Kalerowi. Może powinnam była tak postąpić.

Był najlepszy, jedyny – człowiek, który naprawdę czynił świat lepszym. Jego odwaga, inteligencja, jego prawdziwe zaangażowanie stanowiły kryteria, według których oceniała innych ludzi i niezmiennie stwierdzała, że mu nie dorównują. A później jedną fatalną decyzją, jednym uchybieniem honorowi, jednym naruszeniem prawa zniszczył wszystko.

– Czy są jakieś szczególne przyczyny, dla których odnalazła pani Kalera po siedmiu latach? – Głos Belle wyrwał ją z zamyślenia.

– Potrzebuję go. To znaczy, chciałabym, żeby wyświadczył mi przysługę – poprawiła się szybko. – Mój ojciec jest tu w pobliżu w górach, a ja muszę go znaleźć, zanim... mniejsza o to, chodzi o pilną sprawę natury medycznej.

– Coś poważnego?

– Raczej tak. Ojciec miał rutynowe badania lekarskie przed wyjazdem z Wirginii na urlop. Wyniki ostatniego testu przyszły dopiero przedwczoraj i lekarz odkrył tętniak na aorcie. Ponieważ ojca nie ma, zadzwonił do mnie. Kiedy mu

powiedziałam, gdzie ojciec teraz przebywa, uznał, że ryzyko jest zbyt duże, by przestrzegać tajemnicy lekarskiej. A więc pierwszym samolotem przyleciałam tu z Phoenix.

Leigh zobaczyła wyraz sympatii na twarzy Belle i po raz pierwszy od czterdziestu ośmiu godzin poczuła się mniej samotna i nieco spokojniejsza.

– Doktor MaCallister powiedział, że muszę bezwarunkowo zawieźć ojca do szpitala na operację, i to możliwie jak najprędzej. Każdy, z kim tutaj w okolicy rozmawiałam, polecał Kalera jako człowieka, który na pewno go znajdzie, gdziekolwiek by się znajdował.

– Daj mu trochę czasu, kochanie. Może być rozeźlony jak głodny niedźwiedź na wiosnę, ale na pewno się tu zjawi.

– W tym właśnie sęk, pani Steinert, że ja nie mam wiele czasu. Lekarz powiedział, że przebywanie na dużej wysokości jest dla ojca wyjątkowo niebezpieczne.

– Głowa do góry, złotko. Napij się jeszcze kawy. Wybacz, że to mówię, ale wyglądasz, jakbyś potrzebowała kofeiny.

– Jestem na nogach od trzeciej rano – potwierdziła Leigh. A od czwartej tłułam się tutaj z Seattle, dodała w duchu. Posłusznie przełknęła parę łyków.

– Wypij jeszcze – nalegała Belle, gdy Leigh odstawiła filiżankę. – Twoja śliczna buzia powinna nabrać trochę kolorów.

Starając się za wszelką cenę opanować, Leigh wychyliła do dna resztkę kawy. Belle przypomniała jej własną nianię. Obie były tak samo apodyktyczne i zarazem pełne macierzyńskiej miłości.

– No i co, lepiej?

– Tak, dziękuję. – Leigh rzuciła okiem na zegarek. Wpół do ósmej. I co teraz? Pójść za Kalerem czy szukać kogoś innego? Miała właśnie poprosić Belle o radę, gdy chłopak z kuchni upuścił na ziemię tacę pełną brudnych naczyń, zasypując podłogę rozbitym szkłem i resztkami kawy.

– Co za fajtlapa – burknęła Belle. – Zawsze chce – robić za dużo na raz i za szybko. – Odetchnęła głęboko, po czym znów zwróciła się do Leigh:

– Powiedz Kale'owi o ojcu. Na pewno ci pomoże.

– Właśnie chciałam zapytać, czy nie mogłaby mi pani polecić kogoś innego.

– Pozwól, że opowiem ci, co zrobił kiedyś mój przyjaciel Kale. Mniej więcej dziesięć lat temu spalił mi się ten lokal, a nie byłam ubezpieczona. Zaczęłam wszystko od nowa. Wydałam całe pieniądze. Wierzyciele deptali mi po piętach, myślałam, że się wykończę. Kale był wtedy w Phoenix, ale jedna z jego sióstr

napisała mu o moich kłopotach. I wiesz co? Za parę dni znalazłam w skrzynce na listy czek na trzydzieści tysięcy dolarów.

– Od Kalera?

– Tak.

Porsche, pomyślała Leigh. Teraz wszystko stało się jasne. Pieścił go jak ukochane dziecko, a potem, pewnego dnia, samochód zniknął, a jego miejsce zajął stary, wysłużony džip. Tańszy w eksploatacji, odpowiedział wzruszając ramionami, gdy go zapytała o przyczynę tej zamiany.

– Była i kartka – dodała Belle. – Pisał, że dostał nieoczekiwany spadek, i że w ten sposób przynajmniej nie przepuści tych pieniędzy. Nawet nie wziął ode mnie weksła. I do dziś zresztą tego nie zrobił, wiesz dlaczego?

Leigh potrząsnęła głową.

– Bo pieniądze nie mają dla niego znaczenia. Rozumuje inaczej niż większość ludzi, którzy tak jak on wyszli z biedy. Liczą się dla niego tylko przyjaciele. Nie ma ich wielu, ale ci, których ma, są mu wierni.

– Kaler nigdy jakoś nie opowiadał o Cashmere i tutejszych ludziach – wtrąciła Leigh. – Odnosiłam – wrażenie, że nie wywiózł stąd zbyt wielu miłych wspomnień. ""

– Kiedy miał dwanaście lat, pracował już jak dorosły mężczyzna, a kiedy miał piętnaście, był głową ośmioosobowej rodziny. Mimo to nigdy nie stracił poczucia humoru ani chęci czynienia dobra. Był też jednym z najbardziej honorowych mężczyzn, jakich kiedykolwiek w życiu znałam, ale przez to właśnie wpędził się w kłopoty, prawda? Dlatego że nie potrafił ci skłamać o tym, co robił.

– Ale skłamał Mendozie. Czy tak robi człowiek honoru? – Leigh spuściła oczy, uderzyła palcami o stół.

– Pewnie nigdy ci nie opowiadał o swoim bracie Andym, co?

– Tylko tyle, że zginął na wojnie w Wietnamie.

– Właśnie, że nie. Kale służył już w marynarce, kiedy i Andy zaciągnął się do wojska, a więc nie mogli od razu wysłać go do Wietnamu. Tak mówi prawo wojskowe czy coś takiego. – Belle przerwała na chwilę. – Andy był ukochanym bratem Kalera, może dlatego, że ten dzieciak nie był taki bystry jak inni. Nie to, żeby był opóźniony w rozwoju, ale uczył się wszystkiego dłużej. Nie tak jak Kale: powiesz mu coś raz, a on to zapamięta na zawsze.

– I co się stało?

– Andy stacjonował w San Diego, i tam zmarł. Przedawkowanie heroiny, jak orzekli lekarze. Miał zaledwie dziewiętnaście lat.

Leigh przypomniała sobie skurcz, jaki się pojawiał na twarzy Kalera, ilekroć wspominał swego najmłodszego brata, i żołądek podskoczył jej do gardła.

– Nigdy nie opowiadał mi o swoim rodzeństwie.

– Wkrótce potem Kale odszedł z marynarki i, jak – się dowiedziałam, zaczął pracować w służbie celnej. Zajął się wykrywaniem przemytu narkotyków czy coś w tym rodzaju. Poprzysiągł, że resztę swojego życia spędzi na tym, by to, co spotkało Andy'ego, nie przytrafiło się już nikomu. Słyszałam, że kiedyś o mało sam nie stracił życia.

– Właśnie wyszedł ze szpitala, gdy go spotkałam. – Leigh patrzyła nieruchomo przed siebie. – Był ranny, ale mimo to ujął przestępcę i dostał awans na szefa okręgu. Właściwie to on był moim szefem przez długi czas, dopiero potem role się odwróciły. I właściwie tylko dlatego, że ja miałam dyplom, a on nie. Na jego miejscu byłabym wściekła, ale on to zrozumiał. Takie są przepisy, powiedział.

– Kiedy Kale przywiózł Andy'ego do domu, żeby go tu pochować, tak jak wcześniej pochował mamę, przeżywał to straszliwie. Nigdy przedtem nie widziałam mężczyzny, który by tak cierpiał. Dopóki nie wrócił tu siedem lat temu. Teraz rozumiem dlaczego. Kochaliście się, prawda?

– Ja go kochałam. Myślę, że on mnie też, choć nigdy tego nie powiedział.

Prosił ją, by z nim zamieszkała, później, by wyszła za niego. Odmówiła. Nie dlatego, że go nie kochała, ale uważała, że małżeństwo nie powinno razem pracować. A ona kochała swoją pracę prawie tak samo jak kochała Kalera.

– Nie smuć się, złotko. Zapamiętaj, co ci mówi stara kobieta, która miała dwóch dobrych mężów. Jeśli mężczyzna kocha kobietę, wybaczy jej wszystko.

– Tylko czy kocha? W każdym razie dziękuję pani za kawę i wyrozumiałość. Teraz wiele spraw stało się dla mnie jasnych. – Leigh – sięgnęła po torebkę.

– Uświadomiła sobie nagle, że Kaler nigdy nie ufał jej na tyle, by dzielić z nią swój ból. Tylko rozkosz.

– Mam na imię Belle. Zawsze będziesz tu mile widziana. Lepiej się pośpiesz, jeśli chcesz go dogonić. Nie zabawi tu długo.

– Poszukam go – powiedziała Leigh. Nie czas teraz na odwrót, zwłaszcza gdy życie jej ojca jest zagrożone.

Kaler był mężczyzną bardzo ostrożnym. Zbyt wielu porządnych ludzi zginęło na skutek momentu nieuwagi lub opieszałości. Miał najlepszy sprzęt, jaki można było zdobyć. Każdy przedmiot – od dwuosobowego namiotu, poprzez menażkę, po wodoszczelną apteczkę pierwszej pomocy – był dokładnie sprawdzony i

zabezpieczony przed zniszczeniem. Każda rzecz przed schowaniem na miejsce była starannie wyczyszczona, wyreperowana i przygotowana na wypadek nagłej potrzeby.

Karabin, winchester 30-06, był zawsze naładowany, gotowy do użycia. Czterdzieści jeden lat temu ojciec nauczył go, jak się z nim obchodzić – nie dla sportu, lecz dla zdobycia pożywienia. Bywały takie tygodnie, że tylko od Kalera zależało, czy na stole znajdzie się kawałek mięsa.

To były ciężkie czasy. Kiedy zresztą były lekkie? Ojciec miał typowy dla Irlandczyków pociąg do alkoholu i łatwo tracił nad sobą kontrolę. A Kaler był przecież najstarszy z ośmiorga rodzeństwa.

Głód stanowił bardzo silną motywację, zwłaszcza dla nerwowego, bardzo ruchliwego dzieciaka, który co kilka miesięcy wyrastał ze swoich ubrań. W wieku siedmiu lat wiedział już rzecz podstawową: robotę trzeba było wykonać bez względu na trudności.

Załadował bagaż do dżipa i postawił brezentowy dach. O zmierzchu będzie już daleko stąd. A w nocy otulony śpiworem będzie się wpatrywał w gwiazdy i wsłuchiwał w znajome odgłosy lasu. Sprawdził godzinę. Było parę minut po ósmej.

Spotkanie z Leigh obudziło w nim dawno uspione wspomnienia. Pogwałcił własne zasady, złamał prawo – i co to dało? Jego bratu i tak nie przywróciło to życia, za to stracił jedyną kobietę, jaką kiedykolwiek kochał.

Żałował swego postępuku, ale niczego nie mógł już cofnąć. Musiał jakoś nauczyć się z tym żyć. Nie było to łatwe, ale udało się – dopóki nie zjawiała się Leigh i nie przypominała mu każdego cholernego dnia, który spędził samotnie.

Zapуścił silnik dżipa. Poklepał z rozczuleniem kierownicę. Poczciwy staruszek. Ileż to wspólnych lat mają za sobą. Nagle zauważył zbliżającego się w jego kierunku czerwonego mercedesa. Zaklął i wyłączył silnik. Cholera! Wystarczyłyby dwie minuty i już byłby daleko stąd.

Mercedes zatrzymał się, blokując mu drogę. Zauważył oznakowanie na zderzaku. Z wypożyczalni.

Zanim jeszcze wyszła z samochodu, wiedział, że to ona. Gdy zbliżała się ku niemu, zauważył, że wciąż porusza się z taką samą gracją jak kiedyś, kołysząc podniecająco biodrami.

Jak na tak drobną budowę ciała, miała nieprawdopodobnie długie nogi i była kusząco zaokrąglona wszędzie tam, gdzie trzeba.

– Bombowa ze mnie babka, co? – powiedziała kiedyś ze śmiechem sama o sobie. Przypomniał to sobie, kiedy szła pełnym wdzięku krokiem w jego kierunku.

– Odpowiedź nadal brzmi: nie – powiedział, zanim jeszcze zdążyła się do niego zbliżyć. Nie powstrzymało jej to. Wręcz przeciwnie.

– Przyrzekłeś mi pięć minut. Wyszedłeś, zanim upłynęły.

– Posłuchaj, Leigh. Zazwyczaj biorę każdą robotę. Ale jestem już zajęty. Koniec, kropka.

Odwrócił się, ale szybko zastąpiła mu drogę. Instynktownie dotknęła czubkami palców jego nagiego przedramienia. Poczowała naprężone mięśnie.

– Tu chodzi o ojca. Jest chory, może nawet umierający. Ma tętniak na aorcie. Z początku lekarz się nie zorientował, ale dwa dni temu przyszły wyniki dodatkowych badań.

– Do rzeczy, Leigh. Co to ma wspólnego ze mną?

– On jest gdzieś tutaj w pobliżu, w rezerwacie koło Wenatchee, zmierza do czegoś, co nazywa się Lodowy Kanion. Ja... myślę, że wiesz, gdzie to jest?

Kaler pochylił głowę i obserwował drobne zmarszczki wokół jej oczu. Ona też była już o siedem lat starsza. Ale w przeciwieństwie do niego, z wiekiem stała się jeszcze piękniejsza.

– Mój brat zaginął kiedyś w tym miejscu. Dwa dni zajęło mi odnalezienie go i przywleczenie do domu.

– A widzisz! – zawołała. – Właśnie dlatego jesteś mi potrzebny. Ojciec musi się znaleźć w szpitalu możliwie jak najprędzej, aby można było przeprowadzić operację.

– Winston Bradbury jest zbyt skąpy, by umrzeć. Masz na to moje słowo, Leigh.

– Odwrócił się. Chciał odejść. Znow zastąpiła mu drogę.

– Proszę cię, Kaler. Wiem, że nigdy za sobą nie przepadaliście, ale tu chodzi przecież o życie człowieka!

– Zastanów się, Leigh. Twój ojciec jest znaną osobistością. Jedyne, co powinnaś zrobić, to zadzwonić do tutejszego strażnika rezerwatu, a on już wyśle z pół tuzina ludzi, by go odnaleźli.

– Próbowałam. Ale nie dadzą ludzi, dopóki komuś nie zagraża bezpośrednie niebezpieczeństwo.

– Zadzwon do Tima Burtona z biura szeryfa w hrabstwie Chelan – uciął.

– Powiedział mi, żebym zadzwoniła do ciebie.

– Kiedy indziej, owszem, nawet za tydzień. Ale dałem słowo, a w tutejszej okolicy mężczyzna, który nie dotrzyma słowa, może zwijać żagle i wynosić się, bo nigdy już nie dostanie roboty.

– Jest coś jeszcze, o czym powinieneś wiedzieć. – Popatrzyła na niego pustym

wzrokiem. Wargi jej spopielały. – Ojciec nie jest sam. Jest z nim mały chłopiec, Daniel. To mój syn. Gdyby ojcu nagle coś się stało, gdyby... gdyby umarł, Danny zostałby sam. Przerażony, zagubiony!

Jeszcze dwie godziny temu Kaler czuł się naprawdę szczęśliwy. Teraz toczył walkę z falą niepożądanych uczuć i wspomnień, walkę, którą powinien był wygrać dawno temu.

– A więc kłamałaś, kiedy mówiłaś, że nie chcesz mieć dzieci – powiedział bezbarwnym głosem.

– Przecież to ty bardzo wyraźnie dałeś mi do zrozumienia, że masz już dosyć opieki nad dziećmi. Mówiłeś, że siedmioro wystarczy. Zapomniałeś?

Jak mógł zapomnieć? Był niemal chory ze zdenerwowania, kiedy jej to mówił. Nie chciał jej stracić, ale uważał za stosowne powiedzieć jej, co myśli na temat życia w rodzinie.

– Przecież się zgodziłaś? – przypomniał jej.

– Bo cię kochałam i chciałam być z tobą. To było dla mnie ważniejsze niż dziecko.

Zaległa cisza, tak przeraźliwa, że Kaler słyszał niemal, jak krew pulsuje mu w żyłach. Miała rację. Sześcioletni chłopiec pozostawiony sam w tym dzikim pustkowiu nie miał szansy przeżycia dłużej niż parę dni.

Gdyby nie dał słowa Jerry'emu Hansonowi...

– Muszę podzwonić. Znam paru chłopaków, z którymi pracowałem w ekipie ratowniczej u szeryfa, zanim się rozpadła parę lat temu. Znajdę ci kogoś dobrego.

– Ale ja chcę ciebie. Ty jesteś najlepszy. A poza tym tobie ufam.

– Miło to słyszeć, ale to niczego nie zmienia. Nie mogę ci pomóc.

Leigh ogarnęła panika. Była pewna, że kiedy mu powie o Dannym... Miała jeszcze jedną kartę w zanadrzu. Bardzo niebezpieczną. Jeśli raz nią zagra, nigdy już nie będzie jej mogła wycofać. Serce waliło jej jak oszalałe, ręce zwilgotniały od potu.

Nie, nie może tego zrobić. I żyć później z konsekwencjami swego kroku.

Zamknęła oczy i zobaczyła figlarny uśmiech synka, jego jasne, błękitne oczy. „Nie martw się, mamó. Będę się opiekował dziadziusem”.

Nic na to nie poradzi. Musi zrobić wszystko, by chłopiec był bezpieczny. Nawet narazić się na gniew Kalera.

– Danny jest twoim dzieckiem. Dlatego tak mi zależało, żebyś mi pomógł. Byłam w szóstym tygodniu ciąży, gdy odszedłeś.



## Rozdział 2

Przed trzydziestu laty, gdy szrapnel rozdzierał mu ciało, nie czuł bólu. Przyszedł dopiero później, kiedy wydawało się, że agonia jest już nieunikniona. Teraz poczuł to samo głucho, zimne uderzenie.

– Proszę cię, Kaler, powiedz coś. Nienawidzę, gdy zamykasz się w sobie.

Przeraził ją wyraz jego oczu. Wydawał się tak przygnębiony, jakby otworzyła jakieś głęboko ukryte źródło smutku.

– Równie dobrze mógłby być dzieckiem tego drugiego, twego męża.

Leigh nigdy się nad tym nie zastanawiała... Nawet przez myśl jej nie przeszło, że mógłby nie uwierzyć. Ból przeszył jej serce.

– Mówię ci, że nie. Jeśli moje zapewnienie ci nie wystarcza, nie mam już nic więcej do powiedzenia.

Zrobił kilka kroków i stanął wpatrując się w resztki sadu, w którym wraz z matką pracował całymi dniami, by mieli co jeść i w co się ubrać, i żeby dzieciaki mogły chodzić do szkoły.

– A więc... mam syna. Sześciolatniego.

Nie może jej odmówić. Nie teraz, gdy wykorzystała już swoją ostatnią szansę.

– Właściwie to ma sześć i pół. Urodził się w Boże Narodzenie.

Wyobraził ją sobie z nowo narodzonym dzieckiem.

Jego dzieckiem. Dzieckiem, o którym wołał nawet nie marzyć.

– Jeśli chcesz, bym cię błagała, zrobię to. Kai er, na Boga, obiecaj, że mi pomożesz. Powiedz, że pomożesz mojemu... swojemu... synowi.

Popatrzył na nią. Wyglądała na spokojniejszą, choć była jeszcze bledsza niż na początku. Oczy, pociemniałe z emocji, patrzyły na niego błagalnie.

Kaler zawsze umiał zapanować nad emocjami. Od dzieciństwa walczył wszystkim, czym mógł – słowami albo pięściami, zależnie od okoliczności – i bił się do końca, nigdy się nie poddając. Ale teraz łagodne, serdeczne uczucie, jakie go ogarnęło, sprawiło, że zabrakło mu słów.

– Zgoda, Leigh, wygrałaś – odezwał się wreszcie. – Masz swego przewodnika.

– Dziękuję, dziękuję ci – wyszeptwała. Odetchnęła. Karta okazała się skuteczna.

– Nie dziękuj. Są pewne warunki.

– Przyjmę każdy.

– Nie chodzi o pieniądze. O tym nie ma mowy.

– Zgoda.

– Jeżeli cokolwiek stało się twemu ojcu i chłopiec jest sam, będzie przerażony, zaszokowany. Będiesz potrzebna, żeby go uspokoić. Musisz zatem przygotować się do wyjazdu.

Leigh poczuła nagły skurcz żołądka, ale udało jej się zachować obojętny ton.

– Poczyła już pewne przygotowania. W pracy nie oczekują mnie zbyt szybko.

– Skąd mogłem to wiedzieć?

– Danny to całe moje życie, Kaler. Nic nie ma prawa mu się stać. Po prostu nic!

– Jesteś gotowa zrobić dla niego wszystko, prawda?

Nawet ubić interes z człowiekiem, którym pogardzasz?

Dotknął jej twarzy delikatnym muśnięciem, które jedynie zapowiadało ukrytą w jego palcach siłę. Czyżby chciał się przekonać, jak zareaguje? – zastanawiała się, podnosząc ku niemu oczy.

– Nigdy nie pogardzałam tobą, tylko tym, co zrobiłeś.

Bezwiednie dotknął jej włosów, miękko okalających twarz. Wzdłuż ich linii utworzyła się cieniutka strużka potu.

– Chciałbym cię o coś zapytać. Leigh, czy gdybyś nie potrzebowała mojej pomocy, powiedziałaś mi kiedykolwiek o chłopcu?

– Proszę cię, nie denerwuj mnie. – Leigh potrząsnęła głową. – Nigdy nie powiedziałam ci o Dannym, bo myślałam, że tak będzie lepiej.

– Lepiej? Dla kogo? Dla mnie czy dla ciebie? – wycedził przez zęby.

– Dla... dla nas obojga, Kaler. I dla Danny'ego. On myśli, że to mój mąż jest jego ojcem.

Kaler opuścił rękę. Znała ten wyraz jego ust, który oznaczał, że czeka na jakieś dalsze wyjaśnienia, ale oczy wciąż jeszcze kryły w sobie ów dziwny smutek.

– Nie ma powodu, żeby tak nie myślał. – Spojrzał w kierunku dżipa. – Włóż rzeczy do samochodu, ja muszę jeszcze załatwić parę telefonów – rzucił wchodząc na ganek. – Możesz się przebrać w środku, jeśli chcesz. Łazienka jest na końcu korytarza.

Był już w domu, gdy Leigh poczuła smak krwi i uprzytomniła sobie, że przez cały czas przygryzała dolną wargę, by powstrzymać się od błagania go o przebaczenie.

Koszmarna jazda po wybojach z Cashmere do Lodowej Przełęczy trwała kilka godzin. Leigh była zeszywniała i obolała, gdy wreszcie dotarli na parking.

– O, tam stoi samochód ojca – wskazała srebrzystego jaguara pokrytego grubą warstwą kurzu. – Kiedy wczoraj rozmawiałam ze strażnikiem, powiedział mi, że

ojciec wziął pozwolenie na biwak pięć dni temu.

Zaledwie Kaler zaparkował dżipa i wyłączył silnik, podeszła do nich wysoka, szczupła kobieta, strażniczka z rezerwatu.

– Witaj, Kaler! – zawołała wesoło.

– Cześć, dziecinko, jak leci? – Kaler wyskoczył z samochodu. Rusty Friedrickson była rudowłosa, pogodną kobietą, szczęśliwą żoną strażnika z sąsiedniego parku narodowego. Zaliczała się do najlepszych pracowników, tak w każdym razie uważał Kaler.

– Jak ci leci? – zapytała, kiedy wymienili już przyjacielskie uściski.

– Nie mogłem się doczekać, kiedy cię znowu zobaczę, dziecinko.

– Powiem Hankowi, że go pozdrawiasz, chłopcze – odparowała.

– Kiedy wreszcie zmądrzejesz i rzucisz tego faceta?

– zaśmiał się Kaler.

– A kiedy ty wreszcie wyjdiesz z tej głuszy chociaż raz na tydzień?

– Hej, przecież jestem tu, prawda?

– Mam jedyną okazję, żeby być z tobą sam na sam, a ty przyjeżdżasz z inną. – Rusty popatrzyła w kierunku wysiadającej z samochodu Leigh. – Witam, pani Bradbury! – zawołała.

– Dzień dobry. Miło panią znów widzieć – uśmiechnęła się Leigh z trudem, obolała po kilkugodzinnej podróży.

Rusty odpowiedziała jej uśmiechem.

– Jesteś jedną z nielicznych uprzywilejowanych osób, którym pozwolono dosiąść tego grata – wskazała na dżipa. – Hank i ja myślimy o założeniu klubu osób, które przeżyły tę jazdę.

Leigh roześmiała się po raz pierwszy od czterdziestu ośmiu godzin.

– Coś mi się zdaje, że wasz klub nie będzie miał zbyt wielu członków.

– Z tobą troje.

– Dość tych głupich żartów – burknął Kaler, wypakowując rzeczy z samochodu.

Załadował bagaż na plecy i spojrzał w kierunku dzikiego, ciemnego lasu na zachodzie. Wystarczy wejść między te drzewa, a człowiek znajdzie się w mroku mimo tak słonecznego dnia jak dzisiaj.

– A jak tam z helikopterem? – zapytał wyjmując karabin i zamykając wóz.

– Na razie się nie udało, ale zadzwonię do zarządu. Niebezpieczeństwa pożaru raczej nie ma, zapowiadają deszcze. Nie widzę powodu, żeby służba leśna nie miała udostępnić helikoptera na niewielką misję dobroczynną.

– Powiedziałaś chłopcom z zarządu, że facet, którego mam szukać, jest byłym ambasadorem Stanów?

– Wierz mi, Kaler. Podałam im cały jego życiorys.

– W porządku.

Wręczył Rusty kluczyki od samochodu i zarzucił na ramię winchestera. A więc jednak telefonował tutaj, pomyślała Leigh.

Do tej ślicznej, zycziwej im dziewczyny, która najwidoczniej go uwielbiała. Nie czuła zazdrości. Raczej pewien żal. Niegdyś też uwielbiała Kalera. Jeśli chciał, dawał się lubić.

– Naprawdę chciałabym ci pomóc, ale wiesz, jak u nas kiepsko z ludźmi. – Rusty posłała Leigh przepaszające spojrzenie.

– U nas w urzędzie celnym jest to samo – zapewniła ją Leigh. – Robicie przecież, co możecie.

– Po telefonie Kalera poprosiłam w zarządzie, by każdy, kto widział chłopca i starszego mężczyznę, skontaktował się ze strażnikiem, który ma służbę. A nuż coś to da.

– Dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczna.

– Zapowiadali burzę. Uważaj, żebyś nie przemoczyła nóg – poradziła Rusty, pomagając Leigh uporać się z bagażem.

– Może byś się pospieszyła z tym helikopterem na wszelki wypadek? – poprosiła Leigh.

– Będzie do dyspozycji, kiedy Kaler przyprowadzi was już tu wszystkich z powrotem – roześmiała się Rusty.

– Dzięki, Rusty. – Leigh uścisnęła ją serdecznie.

– Powodzenia. Uważajcie na siebie. Oboje. – Popatrzyła na Kalera i nagle spoważniała.

### Rozdział 3

Noc była ciepła, Kaler zdecydował więc, że będzie spał pod gołym niebem. Leigh zrobiła to samo, chociaż proponował, że rozbije dla niej namiot. Rozpalił ogień i przygotował coś do zjedzenia.

Siedzieli przy ognisku i dopijali kawę. Kaler wpatrywał się w ogień. Leigh przymknęła oczy, oddychała równo i spokojnie. Blask ognia złagodził jej rysy, choć wciąż jeszcze widać było w jej twarzy niepokój i znużenie.

Mieli za sobą ciężki dzień. Jutro czekał ich jeszcze większy wysiłek. Kaler miał zamiar przedostać się na zachód, w kierunku Lodowego Kanionu. Obawiał się, że Leigh może nie wytrzymać znacznej wysokości i nie przetartego szlaku.

A wszystko po to, żeby tego cholernego Bradbury'ego utrzymać przy życiu jeszcze przez kilka lat. Powinien był umrzeć już dawno. Być może wtedy Leigh nie starałaby się za wszelką cenę być doskonała pod każdym względem, żeby tylko zadowolić tego starego „ambasadora”.

Kaler uśmiechnął się pod nosem. Spotkał się z Bradburym tylko dwa razy. I za każdym razem krążyli wokół siebie jak wilki, czyhające, by zniemacka zaskoczyć przeciwnika.

Różniły ich poglądy na wszystko – politykę, sport, sposób bycia. Z wyjątkiem jednego – obaj kochali Leigh.

– Chyba się zdrzemnęłam – usłyszał nagle jej głos. – Przepraszam, że tak kiepsko dotrzymuję ci towarzystwa.

– To z powodu wysokości. Najprawdopodobniej za dzień lub dwa zaaklimatyzujesz się.

– Wątpię, czy kiedykolwiek to nastąpi. Mdli mnie nawet w windzie.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem. Popatrzył na jej delikatne usta i nagle poczuł nieodpartą chęć dotknięcia ich wargami. Zbyt długo byłem sam, pomyślał ponuro.

Pochylił się do przodu, wrzucił do ognia kawałek drewna. Trudno, widocznie tak musiało być.

Leigh dopijała resztki kawy. Wrzuciła plastikowy kubek do wiadra z wodą i rozprostowała obolałe plecy.

Danny był taki podekscytowany przed wyjazdem. Mówił w kółko o spaniu w namiocie i gotowaniu na kuchence turystycznej.

Zaległa cisza, przerywana tylko trzaskiem palących się polan i szelestem gałęzi nad głowami.

– Ile miałeś lat, kiedy po raz pierwszy wybrałeś się na biwak? – zapytała, gdy cisza stała się nie do zniesienia.

– Siedemnaście. To był obóz żeglarski. – Kaler wyjął z kieszeni cygaro i zapalił. Dym przysłonił mu twarz. Tytoń był ciemny i mocny, jak lubił, a ona przypominała mu noce, podczas których leżeli razem w ciemności, rozświetlanej tylko błyskiem jego cygara. Leigh zadrżała, podkurczyła nogi i opłotła rękami kolana. Z bliska dochodził szum drzew, słychać było dźwięk przypominający drapanie pazurów. Wiatr nasilił się, przynosząc ze sobą zapach sosen. W górze płynęło po niebie parę samotnych obłoków.

– Mama już do ciebie idzie, Danny, powtarzała w duchu. Nie bój się.

Strach chwycił ją za gardło. Niczego tak nie pragnęła, jak znaleźć się w pokoiku Danny'ego w Phoenix, popijać gorącą czekoladę i grać z nim w warcaby.

Był jeszcze taki mały, jego uśmiech rozczulał nawet najtwardsze serca. Mój kochany synek, pomyślała.

Kaler nie zadał jej ani jednego pytania na temat chłopca. Nie wydawał się też specjalnie zainteresowany, gdy o nim mówiła. Ale w końcu cóż go mógł obchodzić dzieciak, którego nigdy w życiu nie widział? Poza tym było oczywiste, że matka chłopca też stała się mu obojętna.

Podniosła głowę i spojrzenia ich spotkały się.

– Czy teraz tak właśnie będzie między nami?

– spytała.

– Jak? – udawał, że nie rozumie pytania.

– CM czasu, gdy wyszliśmy ze stacji rezerwatu, nie odezwałeś się do mnie ani słowem.

– Może powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia.

– Zawsze byłeś małomówny, ale nie do tego stopnia.

– Myślałem, że przeszłość skończyła się dla mnie raz na zawsze. Gdy ciebie zobaczyłem, uświadomiłem sobie, że tak nie jest.

– Mnie też nęka jeszcze parę duchów z przeszłości – odpowiedziała łagodnie.

Kaler pochylił się do przodu, oparł ręce na biodrach. Nie miał nic na głowie, płomienie oświetlały jego gęste włosy, tak że wydawały się złocistobrazowe.

– Nie powinienem był tak się zachować u Belle – powiedział, wpatrując się w ogień. – Ale nigdy nie lubiłem niespodzianek. Następnym razem Belle wyrzuci mnie za drzwi za zakłócanie spokoju.

– Myślę, że nie. Przepada za tobą.

– Jest najbliższą osobą, jaką kiedykolwiek miałem, poza babką – uśmiechnął

się. – Tylko jej tego nie powtarzaj. Twierdzi, że jest ode mnie starsza tylko o piętnaście lat.

– Opowiedziała mi o twoim bracie i o tym, jak zmarł. Serdecznie ci współczuję, Kaler. To musiało być dla ciebie straszne.

Nawet jeśli zdziwiło go, że Belle rozmawiała z nią o tak prywatnych sprawach, nie okazał tego.

– To był taki wiejski dzieciak. Do czasu wyjazdu do San Diego nawet nie widział morza – zaczął.

Nagle zerwał się, podszedł do ogniska, odwrócił się do Leigh plecami i wcisnął rękę w kieszenie.

Znów zamknął się w sobie, pomyślała ze smutkiem.

– To ja go namówiłem na wojsko, wiedziałaś o tym? – usłyszała nagle jego głos.

– Skądże – potrząsnęła głową.

– Chciałem stworzyć mu możliwość, jakiej sam nigdy nie miałem – pójścia do college'u, dokonania wyboru. Za parę lat służby marynarka oferowała możliwość kształcenia.

Z wolna zwrócił ku niej twarz. Zobaczyła cienie pod oczami i drobne zmarszczki wokół ust. Pogłębiły się bardziej na skutek przeżyć niż wieku, pomyślała. Kaler wszystko traktował niesłychanie poważnie, zwłaszcza swoje pasje. Miała uczucie, że ból odczuwałby równie głęboko.

– Znałem chłopaków w Wietnamie, którzy brali narkotyki, nawet heroinę, jeśli udało im się ją zdobyć.

Stanowiło to cześć ich tamtejszego życia. Ale myślałem, że Andy nie będzie miał tego problemu. Głupi byłem, co? – Zmrużył oczy, jak gdyby miał się roześmiać, ale na twarzy pozostał mu ten sam wyraz zaciętości.

– To przez Andy'ego chciałeś za wszelką cenę dostać Mendozę i jego kompanów?

– Tylko tyle mogłem zrobić. Ale nawet gdyby Mendoza wszystko wyśpiewał i paru tych łotrów skończyłoby za kratami, to i tak byłoby za mało. Nie przywróciłoby to życia Andy'emu ani żadnemu z tych dzieciaków, które zginęły przez takich łajdaków jak oni.

Leigh uzmysłowiła sobie nagle, że Kalera trzeba było bronić przed nim samym, że jego własne sumienie kierowało nim bardziej niż ona kiedykolwiek była w stanie to robić.

– Nieraz... nieraz ludzie robią coś złego z najlepszych pobudek.

Wolno odwrócił głowę, ukazując oczy ciemne, zdecydowane i zarazem dziwnie bezbronne.

– Niektóre sprawy pozostają w człowieku na całe życie. Jak choćby twoje spojrzenie, kiedy odkryłaś, że nie jestem bohaterem na białym koniu, za jakiego mnie uważałaś.

– Miałam wtedy wiele naiwnych złudzeń. – Leigh zaczerpnęła głęboko powietrza. – Przyjście na świat Danny'ego pomogło mi stać się bardziej... ludzką. Tak mi się wydaje. – Zaśmiała się cicho. – Mam taką nadzieję.

– Zawsze byłaś ludzka w stosunku do mnie, Leigh.

– Z całą pewnością dowiodłam tego siedem lat temu, prawda? Chciałabym...

Nagle rozległ się głośny trzask, po którym nastąpił stłumiony pogłos.

– Zostań tu. – Kaler chwycił karabin.

– Widzisz coś?

– Jest za ciemno. – Stał spokojnie, uważnie obserwując okolicę.

– Może to myśliwy? – spytała ostrożnie Leigh.

– Raczej kłusownik. Sezon łowiecki jeszcze się nie zaczął.

– Kłusownik? Czego może szukać?

Kaler nie ruszał się z miejsca, tylko jego oczy niespokojnie lustrowały teren.

– Wszystkiego, co się porusza na czterech łapach i za co na czarnym rynku można dostać parę dolarów. Słyszałem, że ostatnio łapy niedźwiedzie sprzedawano po sto.

– To dlatego wzięłaś karabin? Na kłusowników?

– Leigh zagryzła dolną wargę, starając się dostrzec cokolwiek za ciemną ścianą otaczających ich sosen.

– Zawsze go mam przy sobie. Chyba z przyzwyczajenia. – Wolno opuścił broń.

– Myślisz, że poszli? – spytała, martwiąc się w duchu o Daniela i ojca. W górach zawsze zdarzały się wypadki. Myśliwi biorą ludzi za zwierzynę, skały.

– Chyba tak.

– Dałam Danny'emu tylko jaskrawe ubrania.

– Przysunęła się bliżej ognia. – Nie dlatego, żebym się z góry spodziewała, że coś się stanie, no, ale tak na wszelki wypadek.

– Nie martw się, Leigh. Jeśli twój ojciec znajduje się gdzieś w pobliżu tego miejsca, o którym mówił, znajdę go.

– To tylko dlatego że nie jestem przyzwyczajona do takiej bezradności. – W oczach Leigh czaił się strach, kąciki ust drżały, choć starała się to ukryć.

– Bezradność to straszne uczucie, prawda?



– Nie bardzo je lubię.

– Raczej nienawidzisz, prawda?

Upłynęła dobra chwila, zanim Leigh spojrzała na Kalera. Uśmiechał się, tym charakterystycznym dla siebie, jakby lekko ironicznym uśmiechem, który zapierał jej dech. Zapadnięte policzki zarumieniły się, a oczy błyszczały niczym szafiry spod ściągniętych brwi.

Twardy, zły, obcy człowiek, który wyszedł z baru Belle, wciąż jeszcze tutaj był, ale był tu również inny mężczyzna. Praktyczny, uparty, szczupły i muskularny, w którym zakochała się kiedyś po uszy w czasie pierwszej godziny, jaką razem spędzili.

– Późno już – wykrztusiła, z trudem usiłując przewyciężyć nagłą suchość w gardle. Ale jego palce już błędziły po jej włosach. Odchylił jej głowę do tyłu.

Zobaczył kremową biel szyi, a niżej delikatne zagłębienie między piersiami ukryte pod jedwabiem bluzki.

Nie wiedziała, co zrobić z rękami. Oparła je o jego pierś. Poczła twarde mięśnie pod koszulą, wydawało jej się, że słyszy głośne bicie jego serca.

– Może nie tak późno jak myślimy.

– Daj spokój – powiedziała i natychmiast uzmysłowiła sobie, że tylko tak pomyślała. Delikatnie ujął jej brodę, poczuła, że drżą mu palce.

– Tylko jeden pocałunek na dobranoc – wyszeptał. – Przez pamięć dawnych czasów.

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł – szepnęła, ale jej wargi już szukały jego ust.

Przeszedł go dreszcz, przycisnął ją mocniej do siebie. Całował raz za razem, a każdy następny pocałunek był coraz bardziej gorący.

Ogarnęło ją ciepło, poczuła się bezpieczna i spokojna. Gładziła jego piersi, ramiona, silny, muskularny kark.

Niecierpliwie zagłębiła palce w gęstych, ciepłych od słońca włosach.

Westchnął ciężko, oderwał od niej usta i odetchnął głęboko.

– Leigh, kochanie, dajmy spokój. Chyba nie chcesz, żebym kochał się z tobą tutaj, na ziemi.

Poczuł nagle, że stracił zupełnie kontrolę nad sobą. Jeszcze jedno westchnienie, jeszcze jedno błagalne spojrzenie, a przekroczy cienką linię między pożądaniem a szarpiającą go, dominującą żądzą.

– Wydaje mi się... że między nami zostało coś więcej niż myśleliśmy – powiedziała z delikatnym, niepewnym uśmiechem. – Musimy zachować

ostrożność. Zgoda?

Kaler z trudem przełknął ślinę. Mężczyzna może znieść głód, zimno, a nawet fizyczny ból znacznie łatwiej niż ten rodzaj samotności, jaki nadchodzi, gdy kończy się miłość.

– Zgoda.

– Załatwię jeszcze parę spraw przed snem – powiedziała schylając się po kosmetyczkę z przyborami toaletowymi.

Świta, pomyślał Kaler. Powinien był zasnąć już parę godzin temu.

Podłożył ręce pod głowę i obserwował niebo. Gwiazda Polarna lśniła niczym zimna, nieprzyjazna latarnia. Orion tkwił na nieboskłonie samotny jak zawsze.

Znał te gwiazdy na pamięć, mógł żeglować kierując się nimi i przepowiadać pogodę obserwując otaczającą je mgiełkę. Znał zwierzęta i ich zwyczaje, znał ich szlaki i legowiska. Nauczył się tego, tak jak wszystkiego w życiu – metodą prób i błędów. Ale odczytywanie Leigh i jej uczuć to coś całkiem innego.

Leżała przy dopalającym się ognisku, na odległość wyciągniętej ręki. Skuliła się w śpiworze, spała głębokim snem.

Kiedy pierwszy raz byli ze sobą, jej ramiona i nogi niemal dusiły go, oplatały go całego. Zgodził się, by sypiała na nim. Polubił to.

W domu miał pojedyncze łóżko, niewiele większe niż prycza w żołnierskim baraku. Z trudem przewracał się z boku na bok na wąskim materacu. Przez długi czas jednak wydawało mu się puste i za szerokie, gdy przestała je z nim dzielić.

Potrafiła sprawić, że tracił głowę. Do diabła, zawładnęła jego duszą. Od samego początku zaskakiwała go, nigdy nie wiedział, czego się po niej może spodziewać.

Ze swej niezależności zrobiła niemal fetysz i pchała się w świat zdominowany przez mężczyzn, podczas gdy on oczekiwał raczej, że zadowolą się bardziej odpowiednim dla kobiety zajęciem przy biurku. Ale Leigh wolała wykonywać trudną, niewdzięczną robotę. Przede wszystkim niebezpieczną.

Na torze przeszkód spisywała się znakomicie. Była świetnym strzelcem, niemal tak dobrym jak Kaler. I była najlepszym śledczym, jakiego kiedykolwiek spotkał.

Bandziory oczywiście powierzały jej swoje najciemniejsze sekrety – gdy drażniła ich, znęcała się nad nimi i czarowała, osłabiając ich czujność.

Nikt nigdy nie będzie miał powodu żałować, że pracuje w zespole z Leigh Bradbury, powiedziała mu tego pierwszego dnia w jego biurze. I rzeczywiście tak było. Połowa starych wyjadaczy z jego sekcji chciała z nią pracować. W pewnym momencie zorientował się, że i on wpadł.

Zawsze, gdy znajdowała się w pobliżu, czuł przyspieszone bicie serca i wyobrażał sobie splątane prześcieradła i skórę tak miękką i mleczną jak gardenie, które widział kiedyś w witrynie kwaciarni.

Kiedy dotknął jej po raz pierwszy, miał ciało tak rozpalone jak wtedy, gdy w Wietnamie pocił się w gorączce. Skórę miała tak delikatną, jak białe kwiaty, które pamiętał z dzieciństwa.

Nie mało kobiet zadowalało jego fizyczne potrzeby przez lata. Z dwiema czy trzema związany był nawet przez dłuższy czas. Spotykał się między innymi z pewną nauczycielką z San Diego, która niemal rozrywała go w łóżku na strzępy. Ale nikt nigdy nie sprawił, żeby czuł się tak młody i niewinny. Sprawiała to dopiero Leigh.

Czułość, tęsknota, chłopięce nienasycenie – wszystkie te uczucia wzbudziła w nim, gdy zaczął się ich flirt.

Flirt, do licha. Tak jej pożądał, że spędzał prawie tyle samo czasu pod zimnym prysznicem, co w pracy. A kiedy wreszcie poszli do łóżka, był tak rozpalony, że energii starczyło mu na długo. O Boże, ależ ona była słodka.

Chociaż ta dwudziestosześcioletnia wówczas kobieta nie była dziewicą, była bardzo skrupowana i niedoświadczona seksualnie. Wciąż jeszcze pamięta swój lęk i wzruszenie, gdy doprowadził ją do pierwszego orgazmu.

Płakała ze zdumienia i szczęścia. Mało brakowało, a i on by to zrobił, przypomniał sobie teraz, jak o czymś bezpowrotnie utraconym. Nic go tak nie poruszyło jak wyraz lęku w jej oczach. Nieraz myślał sobie, że to właśnie wtedy się w niej zakochał.

Pamiętał nagłą falę nadziei, jaka go ogarnęła, zanim otworzyła drzwi i wszedł do pokoju, w którym na niego czekała. W towarzystwie Leigh, mimo jej wykształcenia i wiedzy, nigdy nie uważał na każde wypowiedziane przez siebie słowo, nie martwił się gramatyką, nie starał się wydać kimś innym niż był.

Przerwał na chwilę rozmyślania o przeszłości. Przez ostatnie dwa tygodnie słuchał, jak kumple przechwalali się swymi dziećmi. Oczywiście, że czuł ukłucie zazdrości. W końcu każdy facet powinien mieć dzieci. Takie jest prawo natury. Do diabła, czy nie po to ludzie uprawiają miłość? Parę chwil przyjemności, chłonne jajeczko, parę milionów agresywnych małych pływaków i nagle zjawia się „ono”.

Odetchnął głęboko świeżym leśnym powietrzem. Nie chce myśleć o małym, niebieskookim chłopcu, który ma na imię Daniel. Nie chce myśleć o mamie tego małego chłopca i o tym, jak bardzo by chciał, by to, co mu powiedziała o dziecku,

okazało się prawdą.

W ten sposób minęła następna godzina. Wreszcie usnął. Śnił mu się dom z płotem z palików i sznurem rozciągniętym na podwórzu. Dom, który pozostawał pusty, choćby nie wiem, ile pokoi w nim przeszukiwał.

## Rozdział 4

Wokół siebie Leigh widziała wszędzie piękno i spokój. Powietrze było cudownie czyste. Lekki wiatr poruszał sosnami i cedrami, wokół rozbrzmiewał śpiew ptaków.

Dochodziło południe. Byli w drodze od świtu. Zatrzymywali się tylko od czasu do czasu, by chwilę odpocząć i napić się wody. Dotychczas znosiła to dobrze. Teraz jednak wysokość i wysiłek zaczynały dawać o sobie znać.

Szła za Kalerem z coraz większym trudem. Wkrótce się zatrzymamy, powtarzała w duchu. Jeśli on nie da sygnału do odpoczynku, ona zrobi to pierwsza. Nawet koń pociągowy potrzebuje czasem chwili wytchnienia, a co dopiero człowiek.

Kaler mówił, że Lodowy Kanion kończy się nad jeziorem. Pięćdziesiąt kilometrów wzdłuż rzeki to kilka dni marszu. Dni, w czasie których Daniel może jest sam – bezbronny i zaskoczony, że mama nie idzie mu z pomocą. Dni, w czasie których...

Co to było? pomyślała nagle, wyęzając wzrok. Znow to samo, coś czerwonego na tle zieleni. Serce podskoczyło jej do gardła. Kiedy wyjeżdżali, Daniel miał na sobie czerwony podkoszulek.

Zerwała z twarzy ciemne okulary i zaczęła wpatrywać się w czerwoną plamę. Poruszała się, stawała coraz większa. Nie ulega wątpliwości, że to człowiek, i to niezbyt wysoki. Ale, zreflektowała się, na pewno wyższy niż sześciolatnie dziecko.

Kiedy turysta zbliżył się do nich, stwierdziła, że ma nie więcej niż dwadzieścia lat i że jest niemal takiego wzrostu jak ona.

Czarny napis na jego podkoszulku informował, że jest studentem uniwersytetu stanu Waszyngton. Pewno spędza tu ostatnie dni wakacji.

– Dzień dobry – powitał go Kaler. Karabin spokojnie spoczywał przewieszony przez jego ramię, ale Leigh zauważyła, że trzyma rękę w pogotowiu. Trudno pozbyć się niektórych nawyków, pomyślała.

– Dzień dobry. Wspaniały dzień na wycieczkę, prawda? – Młody człowiek zsunął na tył głowy miękki biały kapelusz i uśmiechnął się.

– Długo w drodze? – spytał Kaler, przedstawiając siebie i Leigh.

– Dziesięć dni. Nazywam się Erie Borden, jestem z Olympii. Widzę, że dopiero wyruszyliście?

– To nasz drugi dzień. Szukamy starszego mężczyzny z sześciolatnim

chłopcem. Prawdopodobnie idą w kierunku lodowca. Nie widziałeś ich przypadkiem?

– Niestety nie.

– Chłopiec jest o... taki – Leigh pokazała ręką. Z trudem ukrywała rozczarowanie. – I prawdopodobnie ma na głowie czapkę kibiców z Phoenix.

– Przykro mi, ale nie widziałem nikogo takiego. Będę miał oczy otwarte.

– Bardzo proszę, a jeśli ich spotkasz, powiedz mojemu ojcu, żeby szedł prosto do stacji, do strażnic/ki Rusty Friedrichson. Ojciec nazywa się Bradbury. Winston Bradbury.

– Rusty Friedrichson i Winston Bradbury. Będę pamiętał.

– Gdzie nocowałeś ostatnio? – spytał jeszcze Kaler na odchodnym.

– W pobliżu Przełęczy Orłów.

– Widziałeś może po drodze ślady jakichś obozowisk?

– Widziałem dym jakies dwa, nie, trzy dni temu. Na zachód od Wodospadu Umarłych. – Odwrócił się i wyciągnął rękę. – O, tam. Zwróciłem na to uwagę, bo dym unosił się w kłębach co jakiś czas. Wyglądało to jak znaki dymne dawane przez Indian.

– Ostatniego lata Danny bardzo interesował się Indianami – pospiesznie wtrąciła Leigh. – Ojciec obiecał mu, że nauczy go paru znaków indiańskich.

Kaler podziękował chłopakowi.

– Nie ma sprawy – uśmiechnął się Borden. – My, ludzie gór, musimy trzymać się razem, prawda?

– Powodzenia. – Leigh posłała mu serdeczny uśmiech i wyciągnęła rękę na pożegnanie.

Kaler obserwował, jak grdyka chłopaka porusza się nerwowo. Pamiętał swoje pierwsze spotkanie z Leigh Bradbury. W jej uśmiechu, w spojrzeniu brązowych oczu było coś, co każdemu mężczyźnie kazało wierzyć, że jest wyjątkowy. Mów do mnie, zdawał się nalegać jej uśmiech. Mów mi te wszystkie rzeczy, o których wiesz tylko ty.

– No tak – wymamrotał chłopak. – Miło było was spotkać. Powodzenia! – Oddalił się w swoją stronę.

– Och, Kaler! Od razu lepiej się poczułam! – Leigh głośno wyrażała swą radość. – Sygnały dymne. To muszą być oni. Ja to wiem!

– Dobrze byłoby, gdyby jeszcze któreś z nas potrafiło je odczytać. Nie wiem, jak ty, ale ja nie umiem.

– Na litość boską, to nieważne, co one oznaczają – zniecierpliwiła się Leigh. –

Ważne jest tylko to, że ojciec i Daniel trzy dni temu jeszcze żyli.

Przynajmniej jeden z nich, pomyślał Kaler i ruszył dalej.

Kaler nie lubił bezczynności. Uważał to za stratę czasu i energii. Jeśli mężczyzna jest zdenerwowany, musi wyładować swoją energię, na przykład rąbiąc więcej drewna na opał niż robi to zazwyczaj.

Leigh kąpała się w strumieniu. Parę godzin wspólnej wędrówki uświadomiło Kalerowi, że wciąż nie jest mu obojętna.

Twarz jej promieniała jakąś niezwykłą łagodnością. Włosy wilgotnymi falami spływały na ramiona. Za duży biały podkoszulek okrywał ją od szyi niemal po krańce szortów. Kaler wyobraził sobie delikatną białą skórę pokrytą pianą z mydła i nagle jego naprężone ciało przeszedł dreszcz pożądania.

– Udała ci się kąpiel?

– Cudownie. Nawet nie przeszkadzały mi ryby, które skubały mi palce.

Myśli stawały się niebezpiecznie erotyczne. Kiedyś to on był tym, który ją „skubał”. Płatki uszu, sutki, łagodny wzgórek między udami. Otrząsnął się ze wspomnień.

– Teraz moja kolej – powiedział. Wziął ręcznik i przybory toaletowe, i udał się w kierunku strumienia.

Leigh obserwowała jego twarz poznaczoną brudami, oczy jakby odgródzone od świata, dalekie, kark i ramiona opalone na ciemny brąz. Miał piękne ciało, jakby stworzone do miłości. Poczwała, że nagle przesywa ją ból, żal za czymś utraconym.

– Uważaj na ryby! – zawołała.

Nie odpowiedział i zniknął między drzewami.

Leigh zmieniła pozycję. Pień, na którym przysiadła, uwierał jej nagie uda. Kaler rozciągnął się o parę metrów dalej na trawie. Za nimi stał namiot, w nim leżały dwa śpiwory.

Poprzedniej nocy spali pod gołym niebem. Tego wieczoru, gdy tylko słońce skryło się za szczytami gór, temperatura obniżyła się o dobre dziesięć stopni i wszystko wskazywało na to, że spadnie jeszcze bardziej. Nie można już było spać na dworze.

– Jak myślisz, czy ojciec z Danielem daleko odeszli od miejsca, w którym ten student widział sygnały dymne?

Kaler przewrócił się na bok i podparł na łokciu. Miał obolałe ramiona. Ale nie od pracy fizycznej. Nie od dźwigania bagaży. Po prostu z napięcia, jakie odczuwał,

gdy Leigh była przy nim.

– Trudno powiedzieć. Wędrówka z dzieckiem zawsze trwa dłużej.

– Przecież on się nie śpieszy.

– Skąd wiesz?

– Bo on czegoś szuka. – Opuściła wzrok. Wskazującym palcem prawej dłoni nerwowo skubała korę pnia, na którym siedziała.

Kaler doskonale pamiętał te gesty. Nigdy nie mogła usiedzieć spokojnie, gdy czuła się niepewnie. Najczęściej w takich sytuacjach zaczynała wzdłuż i wszerz przemierzać pokój. Jeśli nie mogła tego robić, bawiła się bezmyślnie czym popadło – guzikiem bluzki, papierami na biurku, własnymi włosami.

– Czego właściwie szuka twój ojciec? – zapytał Kaler, kiedy zorientował się, że Leigh nie ma zamiaru niczego mu wyjaśnić.

– Och, szlaków, śladów, legowisk i takich tam różnych. – Było jeszcze na tyle jasno, że mógł dostrzec zakłopotanie na jej twarzy.

– Wiesz, że sezon łowiecki jeszcze się nie zaczął?

– On w zasadzie nie poluje.

– Co zatem robi?

– No... szuka yeti. – Leigh oderwała kolejny kawałek kory.

– Yeti? – Kaler zamrugał oczami.

– No tak, yeti – powtórzyła.

Kaler nie posiadał się ze zdumienia. Nigdy by mu coś podobnego nie przyszło nawet do głowy.

Cisza przedłużała się. Wreszcie Leigh podniosła zdecydowanym ruchem głowę, w jej oczach pojawił się wyraz determinacji i agresywności.

– Nigdy nie słyszałeś o Wielkiej Stopie? – zapytała, siłąc się na cierpliwość. – O Człowieku Śniegu? Kudłatym, z ogromnymi stopami?

– Wiem, co masz na myśli. – Kaler starał się za wszelką cenę stłumić śmiech. – Tylko próbuję wyobrazić sobie twego ojca, poważnego ambasadora, przemierzającego lasy w poszukiwaniu wymysłu jakiegoś żądnego rozgłosu idioty.

– Od kiedy przeszedł na emeryturę... zapalił się do tego. – Leigh oderwała jeszcze jeden kawałek kory.

– Zwyczajne dziwactwo.

– Nie, wcale nie. On jest pełen entuzjazmu. A właściwie dlaczego uważasz, że Człowiek Śniegu nie istnieje?

Zacięła usta. Były śliczne, delikatne i pełne zarazem, bardzo wrażliwe i czułe. Stworzone do tego, by je całować.



- Uwierzę w niego, gdy go zobaczę.
- Cynik.
- Do szpiku kości.

Leigh rzuciła do ognia gałązkę i patrzyła, jak płonie. Wysoko w górze ptaki zaczynały układać się do snu. Wydawały przy tym tak smutne odgłosy, jak gdyby wiedziały coś, o czym ona nie wiedziała.

Przeszedł ją nagły dreszcz. Próbowwała oddalić ów strach, powtarzając sobie, że przecież nigdy nie wierzyła w przesady.

– Nie martw się. To tylko sójki – uspokoił ją Kaler, jak gdyby odgadując jej myśli. Wstał i zaczął gasić ognisko. Płomienie rzucały blaski na jego twarz. Wiatr zmierzwił mu włosy, nadając wygląd niesfornego chłopca.

Wygląd bywa zwodniczy, upomniała samą siebie Leigh. Kaler był przecież zdolny do okrucieństwa, przemocy i zawziętości, zwłaszcza gdy ktoś mu się naraził.

Dlaczego mnie nienawidzisz, myślała. Zrobiłam to, co musiałam. Ale poczucie winy, jakie wzbierało w niej od chwili, gdy powiedziała mu o ich synu, nagle rozgorzało jak płomienie w ognisku.

Kaler wyjął cygareto i zapalił je od ognia. Odszedł parę kroków i stał paląc w ciszy i rozkoszując się smakiem drogiego tytoniu. Dobre cygareto i elegancka skóra – oto co dżentelmeni lubią najbardziej.

Kaler zawsze chciał mieć i jedno, i drugie, uprzytomniła sobie nagle Leigh. Tak było zresztą z większością rzeczy w jego życiu.

Kiedy ona nabywała dobrych manier w najbardziej prestiżowej szkole w Georgetown, Kaler w Wietnamie uczył się za pomocą twardych metod, jak radzić sobie z podwładnymi. Leigh studiowała prawo międzynarodowe i najnowsze metody ochrony terytorialnej, a on narażał życie walcząc z przemytnikami narkotyków w południowej Kalifornii.

Zamknęła oczy i uniosła twarz, wystawiając ją na wiatr. Boże, jakaż była naiwna. „Raport dla naczelnika okręgu, p. Kalera w Phoenix”, tak brzmiały jej sprawozdania.

Czy ten człowiek nie ma imienia? To było jej pierwsze pytanie. Dlaczego, na Boga, taki z gruba ciosany, nieopanowany facet jest naczelnikiem – pytanie drugie. Zadała je sobie w parę chwil po wejściu do jego biura tamtego ranka, gdy spotkali się po raz pierwszy.

Zachowywał się zupełnie inaczej niż zwykli to czynić na jej widok mężczyźni. Szorstki sposób bycia i spojrzenie dostatecznie twarde, by wzbudzić respekt

najgorszego gwałciciela prawa, oceniła w duchu. Gęste, jasne włosy, które aż prosiły się o dobrego fryzjera. Twarz naznaczona przeżyciami, którą niewątpliwie można by uznać za przystojną, gdyby był młodszy i mniej cyniczny.

– Henrietta Elisabeth Leigh Bradbury? – warknął niecierpliwie. – A cóż to za pretensjonalne, wyszukane imię?

– Po prostu moje imię – odparowała z najbardziej wyzywającym uśmiechem, na jaki ją było stać. Nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

– Były ambasador Winston Robert E. Lee Bradbury to pani ojciec?

– Tak.

– Spokrewniona z generałem?

– Bardzo daleko – odpowiedziała z całą skromnością, jaką wpoila jej matka.

– Do diabła z tymi w Waszyngtonie. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to debiutantka o buzi dziecka – burknął przeglądając jej papiery.

W wieku dwudziestu sześciu lat trudno ją uznać za debiutantkę, oświadczyła. Z całym szacunkiem, oczywiście, ale w sposób dostatecznie zdecydowany, by sprawę na tym zakończyć.

Podniósł wzrok. Popatrzył na nią przeciągle. Zauważyła, że jego błękitne oczy mocno kontrastują z ciemną opalenizną twarzy. Wziął ją w krzyżowy ogień pytań. Interesowały go jej umiejętności, poglądy, ambicje. Pytania nie były proste, zwłaszcza te, które dotyczyły hipotetycznych sytuacji zawodowych.

– Co pani robi, jeśli okaże się, że skromnie wyglądająca starsza pani przemycą w swej przepastnej torbie kilogram heroiny?

– Zaaresztuję ją, zgodnie z ustaloną procedurą, po czym upewnię się, czy jest możliwość udzielenia szybkiej pomocy lekarskiej, w razie gdyby tej miłej staruszce przytrafił się atak serca.

– Co pani robi, jeśli nastolatek o niewinnej twarzy i oczach jelonka Bambi nagle wyceluje w panią z pistoletu?

– Strzelę na postrach z nadzieją, że medale za ostre strzelanie nie były lipne.

– Na pewno to pani zrobi – powiedział niskim – głosem, który, jak później odkryła, potrafił być delikatny jak westchnienie, gdy szeptał słowa pełne pożądania.

Wyciągnął ku niej dłoń. Podała mu swoją i poczuła ogarniające ją dziwne napięcie. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że już się dała złapać, że trzepotała w sieci niczym pochwycony motyl...

– Będzie padać. – Dźwięk jego głosu wyrwał ją z zamyślenia.

– Wiesz, Kaler, zapomniałam już, jaki potrafisz być delikatny, kiedy masz

dobry nastrój. – Zamknęła oczy i wyobraziła sobie Danny'ego u boku Kalera. Jeden potężny, silny i nieprawdopodobnie dumny, drugi zapowiadający się na równie silnego i dumnego w przyszłości.

– Leigh? – usłyszała.

– Hm? – Kiedyż to ostatnio siedziała tak sam na sam z mężczyzną przy blasku księżyca? Ileż to czasu minęło od chwili, gdy wtulała się w jego ramiona i wznosiła twarz do pocałunku?

– Opowiedz mi o chłopcu.

– Jest najzdolniejszym, najweselszym, najmiłszym dzieckiem na świecie.

– Dlaczego dałaś mu na imię Daniel?

– Właściwie nazywa się Winston Daniel. Po moim ojcu i po... ojcu Edwarda.

– A nazwisko?

– Pinchot.

– Brzmi z francuska. – Zmrużył oczy. Była to jedyna reakcja, na jaką sobie pozwolił.

– Bo jest francuskie.

– Stara finansjera. – Zesztywniał.

– Tak. Nasi ojcowie byli przyjaciółmi. Zналиśmy się z Edwardem od dziecka.

– Pieniądze i artystokracja z Południa. To rzeczywiście najlepsze skojarzenie.

– Każdy tak mówił.

– Wiedział, że nosisz w sobie dziecko innego mężczyzny, gdy braliście ślub?

– Wiedział o mnie wszystko. I o tobie. – Gorąco, jakie nagle napłynęło jej do twarzy, nie miało nic wspólnego z bliskością ogniska.

Załamana i rozczarowana po dymisji Kalera, wzięła długi urlop i pojechała do domu leczyć rany. Tam zastała swego adoratora z dzieciństwa, który czekał, by znów okazać jej względy. Powiedział, że ją kocha. Był tylko pewien problem. Chorował na serce.

Wada wrodzona, orzekli lekarze. Dawali mu najwyżej pięć lat życia. Kiedy wyznał, że chce spędzić te lata z nią, dać nazwisko jej dziecku – Leigh nie była w stanie odmówić. Byli szczęśliwi przez trzy wspaniałe lata, a potem nagle odszedł z tego świata. Leigh przymknęła oczy i pochyliła głowę.

– To dziwne, ale coś mi mówi, że ty i Edward moglibyście się zaprzyjaźnić.

– W jakich okolicznościach zmarł?

– Na zawał, w czasie operacji. Wiedział, że właściwie nie ma szans, ale zaryzykował, ponieważ... Ponieważ chciał, żeby Daniel miał ojca, który będzie z nim jeździł na narty i nauczy go grać w tenisa. Uważał, że chłopiec na to zasługuje.

Kaler patrzył w ogień. Nie potrafił ani jednego, ani drugiego. Jak to dobrze, że Daniel choć przez pewien czas miał obok siebie takiego mężczyznę jak Edward.

– Musiał być znakomitym facetem.

– Tak. Bardzo mi go brakuje.

– Kochałaś go?

– Tak, kochałam. Inaczej niż ciebie, ale rozumieliśmy się nawzajem. Ale cóż, nic nie trwa wiecznie. Tak mi powiedziałaś, odchodząc ode mnie, pamiętasz?

## Rozdział 5

Kaler przykucnął. Tkwił w tej niewygodnej pozycji już od dobrej chwili.

– Co to jest? – Pochyliła się nad nim wbijając wzrok w ziemię. Ślady były tak słabo widoczne, że przeszłaby obok nich, gdyby jej nie zatrzymał.

– Ślady stóp. Mężczyzny i dziecka. Oboje noszą obuwie turystyczne.

Pochyliła się jeszcze bardziej, by móc przyjrzeć się dokładnie. Piersiami nieomal dotykała jego ramion, czuł znajomy zapach fiołków.

Tylko Leigh może używać w lesie perfum, pomyślał poirytowany. Delikatny zapach męczył go przez całą noc i wciąż jeszcze go drażnił.

– Nie podniecaj się. Te ślady są co najmniej sprzed dwóch dni.

– Skąd wiesz?

– Widzisz, jak sucha jest ziemia? Oceniam te pęknięcia na dwa dni. Najpierw rosa je rozmiękczyła, potem słońce z powrotem ściągnęło.

Leigh patrzyła zafascynowana na jego ręce badające ślady. Miał dłonie poorane żyłami, muskularne, ale bardzo delikatne. Leigh nigdy nie zapomniała, jak dotykały jej ciała.

Wyprostowała się. Kaler wciąż jeszcze badał ślady.

– Możemy iść za nimi, prawda? To chyba nie będzie trudne? – zapytała.

– Nic nie jest łatwe w tej głuszy, Leigh. – Wstał gwałtownie i otrzepał kurz z dłoni.

– Ale...

– Słuchaj! – przerwał jej Kaler.

– To... pies? Tutaj? – Szybko rozejrzała się wokół. Z lewej strony rozległo się wściekłe ujadanie.

Kaler natychmiast rozpoznał ogromne zwierzę. Był to pies gończy, potężny, silny, wytresowany, by zabijać.

– Schowaj się za mnie! – rozkazał, sięgając po karabin.

– Co?

– Do diabła, Leigh, albo natychmiast schowasz się za mnie, albo zaraz stracisz jedną ze swoich seksownych nówek.

– Ale... O Boże, myślisz, że on ma zamiar nas zaatakować?

– Nie znam jego zamiarów. Stań za mną, powiedziałem! – Kaler podniósł broń, zmierzył się do strzału, czekał.

– Nie strzelaj! – zawołała. – Tam ktoś jest, chyba coś woła. – Z trudnością

dojrzała mężczyznę w panterce, z karabinem w ręce.

– Zawołaj go, Guntar, albo zaraz będzie po nim. No już! – usłyszała nagle głos Kalera.

– Pocisk, do nogi! – rozkazał mężczyzna. Pies cofnął się, z pyska ciekła mu ślina, obnażył zęby, warczał. Kaler nie opuszczał broni, kontrolował sytuację.

– Znasz tego człowieka? – zapytała Leigh. Wyjęła chusteczkę i otarła twarz.

– Znam. Mieszkali obok nas. Maks i ja wychowywaliśmy się razem.

– Maks?

– Maksymilian. Mamy to samo imię.

Leigh zauważyła, że Kaler wciąż jeszcze trzyma palec na spuście i stoi w pozycji gotowej do strzału. Raz jeszcze rzuciła okiem na biegnącego mężczyznę, po czym spojrzała na swego towarzysza.

– Nie wyglądasz na zachwyconego tym spotkaniem.

– Bo nie jestem. Ktoś powinien był już dawno go zastrzelić, kiedy prawo tu jeszcze nie obowiązywało.

– Myślisz, że to on strzelał tamtego dnia?

– Mogę się założyć. Maks Guntar dla pieniędzy zrobi wszystko, zgodnie z prawem czy nie. Kłopot w tym, że nikt nie jest w stanie tego dowieść, nawet sąd. Był taki jeden, który próbował, syn Belle, Ron, ale znaleziono go martwego. Sprawa wciąż jeszcze jest nie wyjaśniona. Żadnych śladów, nawet kuli w ciele. Ten, kto to zrobił, użył pocisku eksplodującego. Znaleziono tylko kilka odłamków ołowiu.

– Ale na pewno... – Leigh z trudem łapała powietrze.

– I pomyśleć, że to ty na mnie naskoczyłeś, Kale, przyjacielu! – Mężczyzna był już zaledwie o kilkadziesiąt metrów od nich.

Leigh głęboko zaczerpnęła powietrza. Wydawało jej się, że widzi drugi egzemplarz Kalera – lustrzane odbicie, tyle że opaste i wulgarne.

Obaj mężczyźni byli tego samego wzrostu i mniej więcej tej samej wagi, tyle że Kaler był szeroki w ramionach i w klatce piersiowej, Guntar zaś miał wydatny brzuch.

– O mało nie dostałem zawału, kiedy zobaczyłem, jak celujesz w mojego zacnego psinę – powiedział. Miał takie same niebieskie oczy jak Kaler, ocienione gęstymi, wyblakłymi od słońca rzęsami. Taka sama, mocna, zacięta szczęka pokryta była co najmniej dwudniowym zarostem.

Leigh przypatrywała mu się przez dłuższą chwilę. Nie widziała już żadnego podobieństwa do Kalera.

– Jak się mamy, piękna pani – wychrypiał. – Jestem Maks i chętnie poznałbym pani imię.

– Nie będę z panem rozmawiać, dopóki pański pies wpatruje się we mnie jak w befsztyk – mruknęła.

– To pani jest pewno tą babką, o której tutaj wszyscy mówią. Tą, przez którą stary Kale wyszedł z knajpy trzaskając drzwiami.

Kaler przesunął się, stając między Guntarem a Leigh.

– Masz pozwolenie na broń?

– Pozwolenie? O czym ty mówisz, Kale? Przecież polowaliśmy razem w dawnych dobrych czasach. Czyżbyś już zapomniał?

– Co nie znaczy, że to było legalne.

– Sprzedawanie skór jelenich też nie było legalne, ale robiliśmy to.

Pies zaskowyczał nagle i Leigh uzmysłowiła sobie, że to bydlę cały czas powolutku podczołgiwało się ku nim. Był już zaledwie na odległość skoku.

– Spokój, Pocisk! Bo tak ci przyładuję, że popamiętasz.

Pies przywarł do ziemi, zaskowyczał. Biedne zwierzę, pomyślała Leigh.

– Założę się, że szukacie kogoś z rodziny – odezwał się ponownie Guntar.

Leigh starała się dać wymijającą odpowiedź. Czuła się coraz bardziej niepewnie.

– Chodzi o mojego ojca i syna. Może widział pan starszego mężczyznę z sześciolatkiem chłopcem?

– Oprócz was nikogo nie widziałem. – Guntar rzucił Kalerowi przebiegłe spojrzenie. – Jesteśmy z Pociskiem na urlopie.

– Na urlopie? A po czym to odpoczywasz? Po kłusownictwie?

– Kłusownictwo? Co ty wygadujesz, Kale? Od czasów, jak byliśmy dziećmi walczącymi o to, kto zdobędzie więcej mięsa, niczego nielegalnie nie zabijałem.

– Niezły ekwipunek artyleryjski jak na strzelanie do tarczy. – Wzrok Kalera spoczął na karabinie ciężkiego kalibru. Był to remington 30-06, wyposażony w wymyślne celowniki.

– Powinieneś raz go wypróbować, Kale, zamiast używać tej zdezelowanej pukawki, którą ci wtrynił twój stary.

Leigh czuła, że coś wisi w powietrzu. Atmosfera przypominała ciszę przed burzą. To było coś więcej niż rywalizacja dwóch znajomych sprzed lat.

– A gdzie się teraz ukrywają pумы? – zapytał surowo Kaler.

– Gdybym wiedział, na pewno bym ci nie powiedział.

– Nie jesteś nawet na tyle sprytny, by milczeć. Nigdy zresztą nie byłeś.  
– Odwal się, Kaler. Mogłeś mnie tłuc, kiedy byliśmy dziećmi, ale to nie znaczy, że teraz pozwolę ci się mnie czepiać.

Napięcie rosło.

– No, Kale, na pewno zależy ci na tej kobiecie.

Chyba nie chcemy, żeby jej się coś stało?

Jakby w odpowiedzi na to, pies zawarczał i obnażył zęby.

– Niech ci to nawet przez myśl nie przejdzie, Maks – ostrzegł go Kaler.

– To groźba?

– Założmy, że rada kogoś, kto zna cię od lat. Na twoim miejscu wziąłbym ją sobie do serca.

Było już dobrze po północy, gdy Leigh obudził szum deszczu uderzającego o dach namiotu. Tuż obok leżał Kaler, pogrążony w głębokim śnie. Oddychał równo i spokojnie. Uśmiechnęła się.

Przynajmniej pod tym względem wcale się nie zmienił. W ciągu dnia rzadko kiedy odpoczywał. Ale kiedy tylko zamknął oczy, wydawało się, że pogrąża się w sobie bez reszty. Był tak samo bezgranicznie uczciwy we śnie, jak we wszystkim, co robił.

Uśmiech zniknął jej z twarzy. Niegdyś leżeli spleceni ze sobą: jego muskularna noga między jej nogami, jego dłoń na jej piersi, jej ręka na jego męskim karku. Nie była w stanie teraz leżeć spokojnie, z jego twarzą tak blisko.

Kaler był jej opoką, uosobieniem prawości, honoru, odwagi. Wiele czasu upłynęło, zanim związali się ze sobą, ale kiedy to już nastąpiło, nigdy nie wątpiła w siłę jego miłości. I swojej również. Ufała mu bez reszty. Dopóki sam tego nie zniszczył.

Wpatrując się w ciemność starała się zapomnieć szorstkie słowa, jakie do niego skierowała. Słowa oskarżenia, które miały urazić jego godność, zranić go tak boleśnie, jak on ją zranił. Słowa na temat wierności, uczciwości i honoru. Złamał zasady, a ona go za to potępiła.

Zmrużyła oczy, zagryzła mocniej dolną wargę. Poczucie winy było jej dotąd nieznane. Ojciec wpoił jej bezkompromisową uczciwość, dążenie do osiągnięcia jak najwyższej poprzeczki, do doskonałości.

Zgoda, jest doskonała, pomyślała ze szczyptą ironii. Nie popełnia błędów. Nie okazuje słabości. Nie ma wad. To wszystko jest zupełnie obce Leigh Bradbury. Nigdy nie zrobiłaby tego, co zrobił Kaler, niezależnie od okoliczności.



Nagła błyskawica niemal ją osłepiła. Szybko usiadła.

– Kaler? Nie śpisz?

– Nie – usłyszała zaspany głos.

Następna błyskawica rozjaśniła ciemności. Zobaczyła, że Kaler leży na plecach, z rękami pod głową, z na wpół otwartymi oczami.

– Pada.

– I to jak.

Rozległ się grzmot. Nie wiedziała, czy burza zbliża się, czy oddala. Słyszała podmuchy wiatru uderzającego o namiot. A może to grad?

– Czy strumień nie wyleje, jeśli będzie tak padać? – zapytała z niepokojem.

– Zupełnie możliwe. A już na pewno na terenach położonych niżej.

– Ślady ojca! – krzyknęła. – Deszcz je rozmyje, prawda?

– Z pewnością.

Leigh wydawało się, że usłyszała nutkę rozbawienia w jego głosie, i od razu zeszywniała.

– Nie martwisz się?

– Po co? Robisz to za nas oboje.

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie odezwała się. Ma rację, pomyślała. Błyskawica znów rozświetliła namiot. Rozległ się grzmot.

– Burza jest coraz bliżej – szepnęła.

– Czyżbyś się bała?

– Nie, tylko się martwię. Ojciec wziął namiot, ale nie zabrał łodzi.

– Przykro mi to powiedzieć, ale my też nie.

Zapalił lampę naftową. Na moment jej światło osłepiło Leigh.

– Co ty robisz? – zawołała. Miała potargane włosy i blade usta. Jej długie rzęsy rzucały prowokacyjny cień na jasną skórę twarzy.

– Wiem, że nigdy się nie przyznasz do strachu. Chciałem ci dodać otuchy.

– Nie boję się burzy.

Kaler naprężył ramiona. Najbardziej podobała mu się zaraz po przebudzeniu, jej senny jeszcze uśmiech, usta, które prowokowały wprost, by je całować.

– Pamiętasz tę noc, kiedy kochaliśmy się przed kominkiem w czasie największej burzy dziesięciolecia? – Ujął jej dłoń. Próbowwała się wyrwać. Zacisnął palce. – Pamiętam, że twój dach przeciekał.

– Kapało na mnie, nie na ciebie. A ty zlizywałeś krople wody z moich piersi. – Podniósł jej dłoń do ust i dotykał nadgarstka koniuszkiem języka. Czuł, jak puls bije jej coraz mocniej.

Uśmiechnęła się nienaturalnie, oddychała coraz szybciej.

– Było nam dobrze razem, prawda? – pochylił się ku niej.

– Wtedy tak.

– A teraz? – Pochylił głowę jeszcze bardziej, zbliżył usta do jej warg.

– Teraz jesteśmy tylko dwojgiem ludzi, którzy się kiedyś znali.

– Dwojgiem ludzi, których łączy coś szczególnego.

– Szczególnego?

– Czyżbyś zapomniała o dziecku? Wstrzymała oddech, puls bił jej coraz mocniej. Próbowwała mu odpowiedzieć, być tak opanowana jak on, ale głos ją zdradził.

– Boisz się mnie, Leigh? – Jedną ręką trzymał jej dłoń, drugą pieścił włosy. Są miękkie jak puch, pomyślał, owijając pukiel wokół palca.

– A powinnam?

– Oczywiście!

Poczuła, jak chłodna dłoń Kalera studzi jej rozpaloną skórę.

– Opowiedz mi o moim synu, Leigh. Czy jest podobny do mnie?

– Ma jasne włosy, tak jak ty, i niebieskie oczy, ale na ogół wszyscy uważają, że jest podobny do mnie.

Ciekawe, czy ma twój uśmiech, zastanawiał się. Czy ma ten sam figlarny błysk w oku, kiedy jest z siebie zadowolony?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży?

– Wyjechałaś. – Leigh nie pozwoliłaby sobie na okazanie słabości odsuwając się od niego.

– Wiedziałaś, dokąd jadę. Nigdy nie robiłem z tego tajemnicy.

– Co byś zrobił, gdybym ci powiedziała? – Wiedziała, że to było tchórzostwo, takie odrzucenie piłeczki, ale wprawił ją w bardzo kłopotliwą sytuację.

Kaler zmierzwił jej włosy. Lubił, gdy były w nieładzie. Uśmiechnął się.

– Zawsze troszcę się o swoją własność, Leigh.

Dotyczy to również dzieci, gdybym się dowiedział, że jestem ojcem. Spodziewałem się, że wiesz o tym.

Twarz jej złagodniała, gdy usłyszała te słowa. Na masce obojętności, jaką przybrała, pojawiły się pewne oznaki słabości. Odnotował to z satysfakcją. On potrafił lepiej kryć swoje najgłębsze uczucia. Nie musiał jednak ukrywać, że ma nieodpartą chęć pocałowania jej.

Przesunął dłoń ku jej szyi i uniósł podbródek. Usiłowała się wyswobodzić, ale zacisnął mocniej palce uniemożliwiając jej ucieczkę. Pragnął poczuć na swoich

wargach jej miękkie usta.

Leigh chciała zaprotestować, ale poczuła dotyk jego warg.

– Pamiętasz, jak cudownie było kochać się w czasie burzy? – wyszeptał między pocałunkami.

– Nie – wymamrotała. Językiem dotykał jej zębów, podniebienia, drażnił ją, podniecał.

Błysnęło, rozległ się grzmot. Leigh ogarnęło poczucie niemocy i zafascynowania. Wargi jej drżały, poddała się jego pocałunkom. Odchyliła głowę, objęła go. Chciała go czuć bliżej, mocniej, bardziej. Chciała czuć jego skórę ocierającą się o jej ciało, jego silne muskularne nogi wciskające się między jej uda. Czuć na sobie twarde, gorące ciało, wypełniające ją i wszechogarniające aż do granic wytrzymałości, aż do bólu.

Gdy Kaler uniósł na moment głowę, z ust jej wyrwał się cichy, delikatny protest. Dobrze, dziecinko, dobrze, pomyślał, pokrywając pocałunkami jej twarz, policzki, kąciki ust, koniuszek nosa. Jęknęła, rozpaczliwie szukała jego warg, aż poczuła wreszcie jego usta na swoich.

– Ogień wciąż jeszcze się pali – wymruczał.

Oczy Leigh jarzyły się niezwykłym blaskiem. Ujęła gwałtownie jego głowę, przyciągnęła ku sobie, chciała, by ją całował, chciała czuć ciepło jego warg. Zaciśnięła dłonie.

– Pragniesz mnie, Leigh? Powiedz, pragniesz?

Oczy pociemniały mu z podniecenia, oddychał ciężko, twarz mu spąsowiała. Nie poznawała go. Uśmiechnęła się niepewnie.

– Tak, chcę ciebie – wyszeptała. – Potrzebuję cię.

Czuł, że ta prośba nie miała nic wspólnego z pożądaniem. To zwracała się do niego przerażona kobieta, która pilnie potrzebowała kogoś, kto dodałby jej otuchy w ciemności. Przyjaciela, nie kochanka. Nie zgorzkniałego mężczyzny, który ukrywał swoje uczucia.

– Już dobrze, dobrze – wyszeptał. – Wszystko będzie dobrze.

Objął ją, przytulił, delikatnie głaskał po policzku, dopóki nie poczuł, że jej oddech wyrównuje się, a ciało rozluźnia.

Pocałował ją w usta i poczuł, że drżą. Odgarnął włosy z czoła, delikatnie głaskał po głowie.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – wyszeptała, bliska łez. – Nie mogę przestać myśleć o Dannym. Może jest sam, przerażony, czeka, że przyjdę, że go odnajdę.

– Nikt nie może być silny przez cały czas. Nawet ty – dotknął koniuszkami

palców jej ust.

– Ty tak.

– Nie, Leigh, ja też nie – potrząsnął głową.

– Nigdy nikogo nie potrzebowałeś, nawet mnie.

– Potrzebowałem cię. Tylko nie wiedziałem, jak to okazać.

Nigdy nie udało mu się całkowicie sprostać jej wizerunkowi idealnego mężczyzny. Być może to właśnie było powodem, że im się nie udało. Pocałował ją raz jeszcze, po czym odsunął się.

– Kaler? – odezwała się łagodnie. Wargi miała jeszcze wilgotne od pocałunków, oczy lśniły nienaturalnym blaskiem.

– Hm? – odwrócił się niechętnie, niemal żałując tego, co jej powiedział o sobie.

– Dziękuję, że okazałeś rozsądek, zanim sprawy posunęły się za daleko. Dziękuję ci za zrozumienie.

– Nie ma o czym mówić. – Mimo fali gorąca, jaka go zalewała, starał się uśmiechnąć. – Przysuń się – powiedział zdecydowanie.

– Po co? – Zobaczył w jej oczach zmieszanie i ostatnie ślady pożądania, pożądania, które w mężczyźnie z doświadczeniem mogło wzniecić ogień. I co by się wtedy stało? pomyślał. Miałyby jeszcze większe poczucie winy.

– Ja też nie chcę spać sam tej nocy, tak jak i ty.

– Och. – Przysunęła się trochę bliżej. Kaler zapiął śpiwór, wyciągnął rękę, poklepał puste miejsce między nimi – Jeszcze trochę. Chodzi mi tylko o to, żebyśmy spali bliżej siebie, Leigh. O nic więcej, przyrzekam.

– Nie musisz niczego przyrzekać. Wierzę ci. Zawsze ci wierzyłam.

Przysunęła się do niego. Poczul na nagim ramieniu jej włosy.

– Teraz lepiej? – spytał, muskając wargami jej ciało. Wyczerpał już swój limit błędów.

– Tak. A tobie?

– No pewnie. – Objął ją mocniej ramieniem. Wydawała mu się krucha i tak delikatna jak motyl, którego kiedyś trzymał w ręce.

– Deszcz miarowo uderzał o płótno namiotu. Wkrótce Kaler poczuł, jak Leigh uspokaja się i odpręża w jego ramionach. Przy każdym uderzeniu pioruna przytulała się mocniej.

Zaciskając zęby Kaler przeczekał nagłą falę pożądania, po której przysła ulga. Spod na wpół przymkniętych powiek spoglądał na jedwabiste włosy rozrzucone na jego piersi.

Spała z dłonią zaciśniętą na jego dłoni.

Ostrożnie, by jej nie obudzić, sięgnął w kierunku lampy. Namiot pogrążył się w ciemnościach.

## Rozdział 6

Leigh obudziła się. Zanim jeszcze otworzyła oczy, poczuła, że jest sama. Miejsce Kalera w namiocie było puste. Ani śladu śpiwora, plecaka, latarki. Tylko ciemny brezent podłogi.

Nagle poczuła zapach kawy. Przez odchyloną połę namiotu zobaczyła, że deszcz już nie pada, usłyszała śpiew ptaków. Słońce było wysoko, niebo prawie bez chmurki. Liście drzew lekko poruszały się na wietrze.

Pośpiesznie, zdając sobie sprawę, że zasnęła, wygramoliła się ze śpiwora, chwyciła ręcznik i sięgnęła do plecaka po kosmetyczkę i czystą bieliznę.

Wyszła przed namiot. Powietrze było kryształowo czyste. Odetchnęła głęboko.

Kaler siedział przykucnięty przy ognisku, plecami zwrócony do namiotu. Miał na sobie szorty i czysty biały podkoszulek, ale turystyczne buty powalane już były błotem.

Leigh stała w milczeniu, ale on już się obejrzał. Przypomniała sobie, jak bardzo jest wyczulony na to, co dzieje się wokół niego.

– Jajecznicza a la Kaler już prawie gotowa. – Z rondelka umieszczonego na kuchence turystycznej unosiła się para.

– Z góry się cieszę na rozkosze podniebienia – zaśmiała się Leigh.

– Uważaj, co mówisz, moja pani. Kucharz jest dzisiaj w nie najlepszym humorze.

Miał zaczerwienione oczy, zmęczoną twarz, jak gdyby spał jeszcze krócej niż ona. Leigh zaczerwieniła się.

– Która godzina? – spytała.

– Minęła siódma.

Wstała więc o godzinę później niż poprzedniego dnia.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś?

– Wiedziałem, że sama się obudzisz, gdy uznasz, że już czas.

– Poczulałam zapach kawy.

– Tak sądziłem.

– Masz pięć minut – dodał po chwili, gdy skierowała się ku zaroślom.

– Na co? – Patrzyła na niego ze zdziwieniem.

Kaler zauważył, że oczy jej nabrały już blasku, ale twarz wciąż była blada i spięta. Prawdopodobnie myślała o minionej nocy i o tym, co omal się nie zdarzyło. Co powinno się było zdarzyć, do licha.

Wstał, jego ruchy były zdecydowane, płynne i zbyt podniecające dla Leigh, która nie zdążyła wypić swojej porannej kawy i była jeszcze nieco oszołomiona po niedawnym przebudzeniu.

Kaler objął ją i pocałował gwałtownie, a usta miał twarde i agresywne. Przesunął wargi w kierunku jej policzka, musnął koniuszek ucha.

– Najbardziej podobasz mi się rano – powiedział patrząc jej w oczy. – Masz wtedy takie wilgotne i miękkie usta, i włosy jeszcze w nieładzie.

Zanurzył dłonie w jej włosach, owijał ciemne pukle wokół palców.

– Pięknie pachną. – Jak polne kwiaty w samym środku lata, pomyślał dziwiąc się, że przychodzą mu do głowy takie poetyckie nonsensy.

– A ty powinieneś się ostrzyć – bąknęła Leigh mierzwiąc jego czuprynę. Kiedy miał za długie włosy, sterczały mu na karku. Nie lubiła tego.

– Zrobisz to? – zapytał, ponownie zbliżając usta do jej warg.

– Hm? – Nie powinna przystawać na te pocałunki. Są niebezpieczne jak narkotyk, kuszą jak te czekoladki, które trzymała zamknięte w szufladzie biurka.

Kaler zauważył, że jej oczy ciemnieją i zachodzą mgłą, jak zawsze wtedy, gdy była gotowa kochać się z nim. Pożądanie wzbierało w nim niebezpiecznie, doprowadzając niemal do wrzenia, do bólu.

Rozchylił kolanem jej nogi, przycisnął udo do miękkiego łona.

– Sama myśl o tym doprowadza mnie do szaleństwa – wyszeptał.

– Przecież tego nie chcemy. – Leigh z trudem wydobywała z siebie głos. Traciła oddech, czuła twarde udo Kalera ocierające się o jej ciało.

– Mów za siebie. – Trzymał ją w objęciach tak, że mogłaby się z łatwością wysunąć z jego ramion. Ale wcale nie miała na to ochoty, co uświadomiła sobie z przeraźliwą wyrazistością, gdy koniuszkiem języka dotykała jego ust.

Jęknął głucho. Zadrżeli oboje. Językiem rozchylił jej wargi, a jego pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne, gorące, podniecające. Wydawało jej się, że czuje je wszędzie, traciła nad sobą panowanie.

Pragnęła jeszcze mocniej przyłgnąć do jego ciała, ocierać się sutkami o jego pierś, czuć jego twardą męskość, ale nagle niechcący uderzyła go w brzuch kantem kosmetyczki.

– To ostrzeżenie? – Cofnął się szybko.

– Myślę, że tak będzie lepiej. – Wargi miała nabrzmiące, niemal opuchnięte. – A ty co myślisz?

– Do diabła! Co ja mogę myśleć? Jestem tylko przewodnikiem.

Oparł delikatnie ręce na jej ramionach i popchnął lekko w stronę zarośli.

– Daję ci pięć minut. Tym razem mówię poważnie.

Ścieżka wiła się w górę rozpadliną skalną między karłowatymi sosnami. Erozja ogołociła skały niemal zupełnie. Gdzieniedzie tylko wśród granitu wznosiła się nieśmiało rachityczna roślina. Wędrówka tędy była dość niebezpieczna. Kaler zwolnił kroku. Co chwila odwracał się, by sprawdzić, czy Leigh znajduje się w zasięgu jego wzroku.

Miała na głowie czapkę z daszkiem, osłaniającą twarz przed słońcem, ale powietrze było chłodne mimo zbliżającego się południa. Policzki Leigh zaróżowiły się od marszu. Zatrzymał się, czekając, aż się z nim zrówna.

– Za następną skałą jest niewielka łączka. Tam odpoczniemy.

– Dzięki Bogu – wymamrotała, zbyt zmęczona, by się uśmiechnąć.

Kaler puścił ją przodem, dostosowując tempo do jej kroków. To był błąd. Szorty, które miała na sobie, więcej odsłaniały niż zakrywały. Znow poczuł wzbierające w nim pożądanie.

Obserwował szczupłe uda dziewczyny. Miała tak wspaniałe nogi, że chyba żaden mężczyzna nie mógł pozostać na nie obojętny. Wyobrażał je sobie często stojąc pod prysznicem. Pragnął dotykać wszystkich delikatnych zagłębień jej ciała, jego najcieplejszych, najbardziej wrażliwych zakamarków.

Na ułamek sekundy zamknął oczy, usiłując pozbyć się natrętnych myśli. Doznania seksualne mu nie wystarczały. Być może dlatego, że z Leigh nie był to nigdy czysty seks, ale coś więcej, stwierdził po chwili namysłu.

Zaczął się jednak od seksu, to prawda. Kiedy po raz pierwszy weszła do jego biura i posłała mu ten wystudiowany uśmiech absolwentki najlepszej uczelni, zapragnął sprawdzić, co kryje się za nieskazitelnymi manierami i niewątpliwą klasą tej dziewczyny.

Sprawdził. Odkrył namiętność, ogień i ten rodzaj naturalnej zmysłowości, której nie można się wyuczyć. Debiutantka z Wirginii mogła być marzeniem każdego mężczyzny. Elegancka i powściągliwa wśród ludzi, niepoohamowana i niemal wyuzdana za zamkniętymi drzwiami sypialni. Dawała tam z siebie wszystko, pozostawiała mu swobodny dostęp do swoich myśli, marzeń, uczuć.

Powoli ogarniała go potrzeba obdarzenia jej tak silną miłością, jaką ona zdawała się obdarzać jego. Mimo to opierał się tej potrzebie. Mężczyzna okazuje słabość, kochając tak mocno. Kusi go, by osłabić swą czujność, by się rozluźnić, zrelaksować. Wszystko to przytrafiło mu się, gdy był z Leigh. Przytrafiło się raz. Nie powtórzy się nigdy więcej.



Łąka była już o parę kroków przed nimi, gdy uwagę Kalera zwróciły połamane gałązki i zdeptana trawa. Ktoś lub coś przechodziło niedawno przez zarośla.

– Zaczekaj, Leigh! – zawołał ostro.

– Co tam masz? – Zatrzymała się, spoglądając na niego z zaciekawieniem.

Podszedł bliżej. Usta jej drżały. Cicho ściągnął swój plecak i oparł go o skałę. W milczeniu pomógł jej zdjąć plecak, po czym sięgnął po pudełko z amunicją.

– Myślisz, że to Guntar? – zapytała z niepokojem.

– Być może. – Załadował broń.

– Gdzie?

Wskazał głową w kierunku zarośli. W blasku słońca trawa wydawała się szmaragdowa.

– Zaczekaj tutaj – powiedział.

Sam poszedł naprzód pomału i najciszej jak tylko mógł, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Idąc cały czas nasłuchiwał. Chociaż dzień był jasny i pogodny, umilkły nawet ptaki.

W parę sekund później w zakamarku między skałami odkrył przyczynę takiego stanu rzeczy. Wokół wałały się kawałki sierści i resztki kości. Parę metrów dalej zobaczył martwego psa Guntara. Poszarpane mięso tkwiło jeszcze wśród połamanych żeber.

Sposępniał, starając się nie myśleć o ostatnich minutach życia biednego zwierzęcia. Wszystko wskazywało na to, że stoczył okrutną walkę. Krew spryskała skały i utworzyła kałuże w zagłębieniach ziemi. Dotknął jednej z plam. Była jeszcze wilgotna w miejscach, gdzie nie zdążyła wsiąknąć w ziemię. Ocenił, że mogło się to wydarzyć dwie lub trzy godziny temu.

Ostrożnie poszedł dalej wzdłuż charakterystycznych śladów. Zawiodły go w dół do zacienionego miejsca, gdzie dołączyły się inne. Mieszały się ze sobą.

Tutaj ziemia nie wyschła jeszcze po nocnym deszczu. Ślady mordercy dały się zatem z łatwością rozpoznać.

Inne również. Podwójne ślady ludzi, jeden dłuższy i głębszy, drugi mniejszy i płytszy. Mężczyzny i dziecka.

Obrócił się, obserwując bacznie okolice. Około stu metrów przed nim wyrastała ściana drzew, czyniąc przejście tamtędy niebezpiecznym. Odruchowo potarł kciukiem spust karabinu.

Gdyby był sam...

Jego zmysły rejestrowały każdy ruch i dźwięk, błyskawicznie przykucnął i złożył się do strzału. Leigh była blada, przyciskała palce do otwartych ust.

– Boże, widziałam krew. – Głos jej drżał, jak gdyby za wszelką cenę starała powstrzymać się od krzyku.

– Tylko tyle zostało z Pociska. Kaler opuścił broń, podniósł się.

– Leigh... – zaczął niepewnie.

– Kto to zrobił?

Zastanawiał się, czy nie skłamać, ale za bardzo szanował Leigh, by traktować ją jak dziecko, które trzeba chronić przed okrutnym światem.

– Puma.

– Guntar... wiedziałeś, że on poluje na tę pumę, prawda?

– Tak myślę.

– Sądziś, że ją zastrzelił? Gdy zagryzła już psa?

– Nic na to nie wskazuje. W każdym razie tutaj tego nie zrobił.

Leigh usiadła na jednym z kamieni. Jeśli teraz spróbuje pooddychać przez chwilę spokojnie, wszystko złe gdzieś odpłynie, a ona znajdzie się z powrotem w Phoenix, obserwując Danny'ego, jak bawi się z dziećmi w basenie.

– Twój karabin – powiedziała po paru głębokich oddechach – wydaje się być zrośnięty z ramieniem. To nie tylko nawyk, prawda?

– Nie.

– A ta robota, do której cię wynajęto, zanim przyjechałam, miała coś wspólnego z pumą, prawda?

– To nic takiego. – Kaler odłożył karabin i usiadł obok Leigh.

– Opowiedz – poprosiła.

Powinien był wiedzieć, że będzie nalegała. Zawsze starała się dociec prawdy za wszelką cenę. On również, chociaż podejrzewał, że Leigh trudno byłoby w to uwierzyć.

– Puma jest okaleczona. Prawdopodobnie straciła w potrzasku kawałek tylnej łapy. Ponieważ nie może polować, napada na odosobnione farmy.

– Przypuszczam, że z powodzeniem.

Kaler obserwował promienie słońca igrające na jej twarzy. Miała bladą cerę i spięte usta.

– Na razie udało jej się zagryźć parę owiec i dobermana. Tutejsi farmerzy wynajęli mnie, bym położył kres cierpieniom tego nieszczęsnego zwierzęcia.

Zauważył, że na twarz Leigh wracają kolory, i modlił się w duchu, żeby nie zadawała mu więcej pytań. Kiedy rozluźniła się i uśmiechnęła, odetchnął z ulgą.

– Biedny Guntar – westchnęła. – Może nie ma wiele współczucia dla ludzi, ale wydawało mi się, że na swój sposób troszczył się o tego psa. – Otrząsnęła się,

wygładziła bluzkę i poderwała na nogi.

– No dobrze, koniec hysterii. Nie sądziłam... O mój Boże!

Zasłoniła dłonią usta. Wbiła wzrok w ślady, które Kaler niedawno zbadał.

– Słuchaj, tam są jakieś ślady... Ojca i Danny'ego. Puma podąża teraz za nimi, prawda?

– Pamiętasz, co ci kiedyś powiedziałem? Nigdy nie wyciągaj pospiesznych wniosków. Pozwól, by doprowadziły cię do nich dowody.

– A cóż to jest innego, jak nie dowody? – spytała nie odrywając oczu od śladów na ziemi.

– Po pierwsze, wcale nie jestem pewien, czy te odciski stóp należą do twego ojca i syna, a po drugie, dopóki dokładnie wszystkiego nie sprawdzimy, nie będziemy wiedzieć, co robi ten przeklęty kot.

Leigh rzuciła mu niecierpliwe spojrzenie. Nie trzeba jej tego tłumaczyć.

– Wydaje mi się, że ci właściciele sadów mają nie lada kłopoty, skoro wynajęli takiego specjalistę jak ty tylko po to, by zastrzelił okaleczoną pumę porywającą im owce. Dlaczego nie zrobił tego któryś z farmerów?

– Pумы są pod ochroną. – Starał się, żeby jego głos brzmiał jak najspokojniej. – Aby zastrzelić to zwierzę, trzeba mieć specjalne zezwolenie z zarządu myślistwa i rybołówstwa.

– Wątpię, by wydali zezwolenie tylko dlatego, że rzadkie i zagrożone wymarciem zwierzę atakuje owce. Wydaje mi się, że raczej by ją uspili i przewieźli w jakiś odległy rejon.

– Daj spokój, Leigh – ostrzegł. Zaczynała go zapędzać w ślepy zaułek, a on, podobnie jak puma, którą ścigał, nienawidził zaułków, z których nie było wyjścia.

– Nie ustąpię, dopóki nie poznam prawdy. Zniosę wszystko, pod warunkiem że nie będziesz mnie okłamywał.

Kaler jęknął. Czuł się jak pięciolatek, który porządnie oberwał za kłamstwo i teraz już zawsze mówi prawdę.

Przekładając winchestera z prawej ręki do lewej, chwycił Leigh za ramię i odwrócił w drugą stronę, by nie widziała śladów. Wyswobodziła się.

– Nie zrobię ani kroku dalej, jeżeli mi nie powiesz, co ukrywasz przede mną.

Na pewno nie ustąpi, pomyślał. Nie był w nastroju, by z nią walczyć.

– Chcesz znać prawdę? Dobrze. Pumę trzeba zabić, bo rzuciła się na czteroletnią dziewczynkę na podwórzu domu jej rodziców i poszarpała ojca, kiedy próbował ją ratować.

– To znaczy, że... że dziewczynka zginęła?

– Nie, ale czeka ją niejedna operacja plastyczna.

Nagle wydało mu się, że Leigh – tak krucha i delikatna – za chwilę całkowicie się załamie. Pamiętał jednak, że w rzeczywistości wiele potrafi przetrzymać. Nikt nigdy nie zobaczy Leigh w chwili jej słabości. Przy całej swej kobiecości miała w sobie więcej męstwa niż on.

– W takim razie oczywiście, że... że... musisz zabić to zwierzę. Zanim znajdzie Danny'ego i ojca.

– Leigh, duże koty polują tylko wtedy, kiedy są głodne. Akurat teraz nasza puma ma pełny żołądek. Nie będzie polować przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny, a może i dłużej.

– To jednak niezbyt długo, prawda?

– W takim razie najlepiej będzie, jak się tym zajmę. – Podał jej karabin. – Uważaj, załadowany – ostrzegł. Zanim zdołała zaprotestować, odwrócił się i pobiegł do miejsca, gdzie zostawili plecaki.

Leigh pomału wyciągnęła nogi, starając się nie okazywać bólu przeszywającego jej mięśnie. Obok spał Kaler odwrócony do niej plecami. Oddychał głęboko i miarowo.

Ból zwiększał się przy każdym ruchu, chwytaly ją skurcze. Wreszcie z trudem udało jej się usiąść.

– Co się dzieje? – usłyszała nagle głos Kaler a. Przewracał się właśnie z boku na bok.

– Nie mogę przestać myśleć o Danielu. Jeżeli coś miałyby mu się stać... – Głos zadrżał, zagryzła wargi.

– Jeśli jest podobny do swojej mamy, wytrzyma wszystko.

Leigh wydawało się, że ciemność zamyka się nad nią. Nerwowo szarpała róg śpiwora.

– Nie mogę zapomnieć psa Guntara, jak rzucił się w naszym kierunku. Aż trudno mi sobie wyobrazić, że mógł zginąć w ten sposób... rozszarpany na kawałki. – Zaczerpnęła powietrza. – Jestem pewna, że Guntar wytropił już tę pumę i zastrzelił ją.

– Bardzo możliwe.

– Jest dobrym strzelcem?

– Jednym z najlepszych.

– Takim jak ty?

– Niektórzy mówią, że lepszym – powiedział Kaler z pewnym wahaniem.

– Dlaczego go biłeś, kiedy byliście dziećmi?

W nieprzeniknionej ciemności, która ich ogarnęła, nie mogła dojrzeć jego twarzy. Szósty zmysł ostrzegł ją przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

– Nazwał moją matkę dziwką. Złamałem mu wtedy szczękę.

– Ile miałaś lat? – zapytała Leigh, z trudem łapiąc powietrze.

– Osiem. A on dziesięć. – Głos Kalera przybrał – ostry ton. – Widziałem wyraz twojej twarzy, gdy mu się przypatrywałaś.

– Moglibyście być braćmi. Nawet macie to samo imię – przyznała łagodnie.

– Maks to imię ojca. Nadając również mnie to imię Patrick Kaler chciał ukarać moją matkę. Była w ciąży, gdy się z nią żenił, w ciąży z jego najlepszym przyjacielem. Już żonatym. Poczciwy stary Maks Guntar. Mówiła, że została zgwałcona pewnej nocy po dożynkach.

– Patrick jej wierzył?

– Kto to wie? Ożenił się z nią i nigdy już nie odezwał się do Maksa Guntara.

– A ty wiedziałeś o tym od dziecka?

– Wszyscy wiedzieli. Moi bracia i siostry mieli ciemne włosy i oczy, tylko ja jeden wyróżniałem się z daleka włosami blond i niebieskimi oczami. Kiedy byłem jeszcze młodszy niż Daniel, każdego wieczora modliłem się, żebym stał się podobny do mojego rodzeństwa, ale oczywiście nic to nie mogło pomóc.

– A twoja matka?

Kaler poczuł przypływ bolesnych uczuć. Złość dawno mu już minęła, ale głęboko skrywany ból pozostał. Tłumił go tak długo, że teraz czuł już tylko nikłe współczucie dla tej spokojnej, kościstej kobiety, która była jego matką.

– Spędziła resztę życia zachowując wdzięczność do Patricka za to, że uchronił ją od hańby.

– Dlaczego nigdy przedtem nic mi o tym nie mówiłaś?

– Nie widziałem potrzeby.

– A teraz?

– Jesteś piękną, podniecającą kobietą, Leigh. Na pewno wyjdiesz ponownie za mąż, może będziesz jeszcze miała dzieci. Co wtedy? Czy Daniel będzie rosnać w przekonaniu, że musi być lepszy, silniejszy i mądrzejszy od innych, po to tylko, by usprawiedliwić swoje nieszczęsne pochodzenie?

– Nigdy! – krzyknęła gwałtownie. – Danny jest najważniejszą częścią mego życia i doskonale to wie. Zawsze będzie wiedział.

Kaler poruszył się. Chwilę później Leigh usłyszała cichy syk i w namiocie zabłysło światółko lampy naftowej.

Kaler leżał na śpiworze. Był w samych spodenkach, tak cienkich, że raczej uwypuklały niż osłaniały muskularne uda i pośladki.

Mdłe światło rzucało cień na jego twarz i dodawało oczom hipnotyzującej głębi. Zmierzwione włosy sterczały na karku.

– A co się stanie, kiedy dorośnie i nauczy się liczyć? – zapytał nagle.

– Liczyć?

– No tak, liczyć miesiące. Różnicę między twoją rocznicą ślubu a swoimi urodzinami.

– Powiem mu prawdę. – Leigh poczuła nagle, że robi jej się słabo.

– Taką jak mnie?

Nie było w jego głosie nic, co powinno przyprawić ją o drzenie, nic, co by mogło przyspieszyć bicie serca, nic poza łagodną ciekawością.

– Wolałabym nie.

– Dlaczego? To przecież prawda, nie? Nie okłamałabyś mnie chyba w takiej sprawie po to tylko, bym przyszedł ci z pomocą?

– Czyżbyś tak myślał? – Zobaczyła, że oczy mu pociemniały, zacisnął szczęki, jak gdyby czekał na coś więcej. Gdy milczała, tylko wzruszył ramionami.

– Byłaby to ironia losu, nie uważasz? Przestałaś mnie kochać, bo zламаłem parę przepisów, żeby zniszczyć mafię przemytniczą. Ale mówiąc facetowi, że jest ojcem, jeśli nie jest, zламаłabyś wszystkie zasady, jakie znam. Jak byś to nazwała siedem lat temu? Czymś haniebnym i podłym?

– Masz rację, to byłoby podłe – przyznała.

Zamierzała się odwrócić, ale chwycił ją za nadgarstek, uniemożliwiając jakikolwiek ruch.

– Nie chciałem wracać do tego tematu.

– Owszem, chciałeś. I chciałeś mnie zranić. Lepiej się teraz czujesz?

Kaler patrzył na jej smukłe, delikatne ramiona. Poczul wstyd, co go jeszcze bardziej poirytowało.

– Co ty sobie myślisz? Wtargnęłaś ponownie w moje życie, rozbudziłaś te wszystkie sprawy, o których tak ciężko mi było zapomnieć, a wreszcie oświadczasz, że mam sześciolatniego syna, którego nigdy na oczy nie widziałem. Na litość boską, mam chyba prawo być w nie najlepszym nastroju.

– Owszem, ale nie masz prawa być tak okrutny.

– Masz rację. – Potarł czoło. – Przestałem nad sobą panować.

– Rozumiem. To jest... stresujące dla nas obojga.

– Stresujące? Do Ucha! To tak, jak gdyby nigdy nie było tych siedmiu lat.

Widzę cię i pragnę, szaleję na twoim punkcie, jeśli chcesz wiedzieć.

– To tylko pożądanie... – Nie dokończyła zdania. Poczwała na szyi jego palce. Były twarde, szorstkie i gorące.

– Ty też mnie pragniesz, nie zaprzeczaj. – Wodził palcem po jej twarzy, wokół ust, uniemożliwiając zebranie myśli.

– Nie wiem nawet nic o tobie...

– Nie musisz wiedzieć, by mnie pragnąć. Chciałaś mnie już pierwszego dnia w moim biurze, chociaż wcale mnie wtedy nie znałaś.

– To nieprawda.

– Facet taki jak ja potrafi czytać z oczu. Widziałem, co się w nich kryło tamtego dnia. Trochę strachu, zwyczajna kobieca ostrożność i cała masa seksualnej fascynacji.

Podniosła powieki i popatrzyła mu prosto w twarz. Miał spięte usta, zaciśniętą szczękę. Oczy pociemniały mu jeszcze bardziej.

– Byłeś inny niż mężczyźni, z którymi miałam przedtem do czynienia. Może dlatego zawodziły wszystkie sposoby, którymi próbowałam się bronić przed tobą.

– Ja nigdy nie potrafiłem się przed tobą bronić. To mnie przerażało. I nadal przeraża.

– Kaler, ja... – Leigh nagle zdała sobie sprawę z ciszy, jaka wokół nich zalegała.

– Ale przecież była obawa, że mogłabym zająć w ciążę.

Ku jej zaskoczeniu, wydawał się mocno zaniepokojony, jak gdyby nigdy mu to nie przyszło na myśl.

– Chciałbym, żebyś była.

– Ale przecież... przecież mówiłeś, że nie chcesz dzieci.

– Wygląda na to, że matka natura wiedziała lepiej, nie uważasz?

– Ale my się już nie kochamy – wyszeptwała przez zaciśnięte gardło.

– Belle powiedziała mi kiedyś – Kaler wsunął dłoń w jej włosy – że nic na świecie nie bierze się z przypadku, nawet dzieci. Być może Bóg zesłał nam Danny'ego, by dać nam raz jeszcze jedną szansę.

Po chwili dodał, pochylając ku niej twarz:

– Tęskniłem za tobą, piekielnie tęskniłem.

Poczwała najpierw ogarniające ją ciepło, a później szorstkie usta na swoich wargach. Spuściła powieki, usta jej drżały.

– Kaler, proszę...

– Jeśli się martwisz, chcę cię zapewnić, że jesteś bezpieczna. Obiecuję.

Jego pocałunki stawały się coraz bardziej natarczywe. Nie mógł się nią nasycić,

jak człowiek, który zbyt długo był głodny. Leigh nie pozostawała mu dłużna.

Gładziła jego muskularny kark, wdychała zapach skóry, zagłębiała palce w gęste, jasne włosy.

Przycisnęła ją do siebie tak mocno, że poczuł na swojej piersi dotknięcie jej sutek. Przeszedł go dreszcz, wezbrało w nim pożądanie, którego nie mógł opanować. Wciąż jeszcze starał się kontrolować sytuację, ale uczucia zawładnęły nim bez reszty.

– Jesteś słodka – wyszeptał między jednym a drugim pocałunkiem. – I dzika jak miód z górskich kwiatów.

Musnął wargami jej szyję. Poczuł gorąco skóry, puls uderzający w szalonym rytmie. Mile łaskotała jego ambicję świadomość, że Leigh udzielała się jego podniecenie.

Pokrywając pocałunkami jej szyję, uwolnił ją ze śpiwora. Poczuł delikatny zapach perfum.

Wyobrażenie tego, co miało się zdarzyć, doprowadzało go niemal do bólu. Głód wzmagął się. Powtarzał sobie, że pożądanie jest czymś innym niż kochanie. Czymś bezpieczniejszym, łatwiejszym do kontrolowania. Wydawało mu się, że gorąco, jakie go ogarnęło, wydobywa się z niego wszystkimi porami ciała. Nagle bawełniany podkoszulek, który na sobie miała, wydał mu się zbyt gruby i krępujący ruchy. Zsunął go z niej szybkim ruchem. Ujrzał biel piersi, sterczące, pociemniałe z podniecenia, twarde sutki, doskonałe w swym kształcie niczym drogocenne perły.

Pieścił je delikatnie koniuszkiem języka. Zadrżała i przegięła się do tyłu, wyprężając, jakby domagając się dalszych pieszczot. Pożądanie wzbierało w nim coraz bardziej, czuł pulsującą krew, przyprawiającą go niemal o szaleństwo.

– Masz pełniejsze piersi niż dawniej – wykrztusił.

– Karmiłam Danny'ego – przypomniała i Kaler przeklął swoją wyobraźnię, która z niezwykłą jasnością przedstawiła mu obraz Leigh, uśmiechającej się ze wzrokiem pełnym miłości do maleńkiego chłopczyka ssącego łapczywie tę cudowną pierś.

Całował każdy centymetr jej ciała i miał wrażenie, że oddałby duszę za to, by być tam wtedy z nią. By trzymać jej dłoń, gdy najmocniej cierpiała. By błagać o przebaczenie, że ją zawiódł.

– Powiedz, co chcesz – wyszeptał ochryple.

– Dotknij mnie – poprosiła gorączkowo. Oczy zasnuła jej mgła pożądania.

Kaler zsunął rękę na jej pierś i lekko zacisnął dłoń.



– Tutaj?

– O tak, tak!

Ścisnął lekko, Leigh jęczała cicho. Stwardniałe sutki same dawały odpowiedź, nie była w stanie dłużej się opierać.

– Czy jest ci przyjemnie? – zapytał.

Wyprężyła się w odpowiedzi, domagając się, by pieścił ją mocniej, gwałtowniej. Czuła, że jego ręka drży. Przesunął dłoń w kierunku szortów.

Ściągał je coraz niżej i niżej, aż odsłonił uda zachęcające, by pieścił je ustami. Miała wprost niewiarygodnie miękką skórę. W blasku nikłego światła lampy naftowej Leigh wydawała się niemal przezroczysta, a oczy jej jarzyły się wewnętrznym ogniem. Uczucia, które bezlitośnie tłumił w sobie przez siedem lat, odżyły w nim z niebezpieczną siłą, a ciało domagało się zaspokojenia.

Zaciskając zęby z rozkoszą obserwował, jak Leigh zmienia się na twarzy. Najpierw było w niej napięcie, później bezradne pożądanie, wreszcie zaskoczenie, gdy jego palce zaczęły pieścić mały, twardy wzgórek, ukryty wśród jedwabistej kępki włosów, i wilgotnego zakątka jej ciała.

Wygięła się raptownie do tyłu, po czym równie gwałtownie pochyliła, kryjąc w momencie największego napięcia twarz na jego ramieniu. Uspokajał ją, pozwalał, by szarpała jego włosy, drapała kark, kurczowo chwytala ramiona. Wreszcie pomału, stopniowo, leniwie rozluźniła się, wracając do rzeczywistości. Ale on nie czuł ulgi.

Raz jeszcze ciało jej przeszedł dreszcz, po czym, nerwowo łapiąc powietrze, drżąc cała, upadła na plecy, a na ustach jej pojawił się rozmarzony uśmiech zaspokojenia.

Kaler cofnął rękę, doprowadził do porządku jej ubranie, po czym położył się obok z ręką pod głową.

Pomału, sennym, leniwym ruchem, uniosła dłoń do jego twarzy.

– Wiedziałam, że jesteś wspaniałą. Masz tyle talentów – wymruczała czule, wodząc palcami po jego ustach.

– Większości z nich od dawna już nie wykorzystuję – szepnęła, całując koniuszki jej palców.

– Obawiałam się, że nigdy już nie zobaczę twojego uśmiechu – powiedziała cicho.

Pocałował wewnątrz jej dłoni. Znów ogarnął go niepokój. Jak może czuć się dobrze, jeśli jest bliski eksplozji z powodu nie zaspokojonego głodu – pomyślał i natychmiast uświadomił sobie, że ona ma rację. Sprawił jej przykrość, ale zarazem

dał jej rozkosz.

– Muszę mieć się przed tobą na bacności – oświadczył przyciskając ją mocniej do siebie. – Za dobrze mnie znasz. Mężczyzna nie lubi takich sytuacji.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? – zapytała łagodnie, a głos jej był pełen czułego niepokoju, który poruszył go do głębi. Podniósł wzrok i wyczytał w jej oczach nagłą prośbę.

– Bałaś się konsekwencji. Chciałem, żebyś była spokojna.

Była cudownie odprężona i zaspokojona, ale on leżał napięty jak cięciwa łuku i obolały.

– Jesteś kochany – szepnęła. – Taki szorstki na zewnątrz, a naprawdę taki cudownie delikatny.

– Daj spokój – zaprotestował. – Mam wystarczająco dużo rozsądku, by wiedzieć, jak jest naprawdę.

– Może oboje mamy. Nie chcę teraz myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak mi jest dobrze.

Leigh zwilżyła wargi. Zrozumiała wreszcie, że Kaler był mężczyzną, który rozpaczliwie potrzebował miłości. Nie za coś – za swoje umiejętności, odwagę czy siłę, ale dla samego siebie. Powinien być kochany wiele lat temu.

– Pocałuj mnie jeszcze – szepnęła. – Tak jak to robiłeś, kiedy...

Zanim znów zbliżył wargi do jej ust, jęknął jak człowiek nękany dręczącym, nieubłagany bólem.

Leigh rozpoznawała dłońmi jego ciało, tak niegdyś jej bliskie. Ręce jej drżały, gdy zsuwała mu z bioder spodenki. Drżały jeszcze bardziej, gdy dotknęła gorącego nabrzmiałego ciała. Lędźwie Kalera stężały w spazmatycznym skurczu, a z ust wydobył się głuchy jęk.

– Teraz moja kolej – szepnęła ochryple między pocałunkami.

Kaler odetchnął głęboko, zanim ujął jej dłoń i przesunął w kierunku brzucha. Spojrzeniem szukał jej oczu, jak gdyby domagał się odpowiedzi na niezwykle ważne pytanie.

– Przecież wcale nie musisz... – Westchnął, gdy uwolniła dłoń z jego uścisku i zaczęła pieścić go z taką samą czułością, z jaką przedtem on to robił.

– Dobrze ci? – zapytała.

– O tak, bardzo! – z trudem wydobywał z siebie słowa. Skóra naprężyła się pod dotykiem jej dłoni.

Gdy pochyliła się nad nim i poczuł w najczulszym miejscu jej usta, przestał panować nad sobą. Ulga przyszła nagle, gwałtownie, z ust wydobył się głośny

krzyk. Raz jeszcze wstrząsnął nim dreszcz, po czym zapadł się w cudowną nicość.

## Rozdział 7

Świtało już, kiedy Leigh się obudziła. Leżała wtulona w pierś Kalera, z dłonią wciśniętą w jego dłoń.

Cicho szumiały drzewa, powietrze wdzierające się do namiotu było rześkie i przepojone zapachem sosen.

Zamknęła oczy i wdychała znajomy zapach jego skóry. Jak dobrze być znów obok niego, pomyślała. Z nikim nigdy nie czuła się tak pewnie i bezpiecznie. Nikt tak jak on nie dawał jej odczuć, że jest kobietą.

Może dlatego, że sam był bardzo męski i silny. Nie sposób mu się było oprzeć.

Miał muskularne ręce i ramiona, nogi silne i wytrzymałe. Ciało miał naznaczone bliznami nisko na biodrze, gdzie szrapnel wroga zmiążdżył mu kość. Wciąż jeszcze od czasu do czasu mu dokuczały, zwłaszcza po wysiłku fizycznym. Kiedyś, po długiej jeździe konnej, przez kilka dni utykał. Nikt jednak nie odważył się okazywać mu współczucia.

Powoli podniosła głowę i spojrzała w jego twarz. Spał, oddychając równo i spokojnie.

Jakie piękne ma usta, pomyślała z sennym uśmiechem. Zdecydowane, męskie, z czającym się w kącikach ironicznym uśmieszkiem, idealnie wręcz zharmonizowane z męskimi rysami twarzy. Kochała te usta od owej pamiętnej chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła jego charakterystyczny uśmiech.

Było w nim coś chłopięcego, być może nawet jakieś ostatnie ślady niewinności. Oczarował ją i zaintrygował zarazem.

Nie oszlifowany diament, pomyślała z rozczuleniem. Nie oszlifowany, lecz nie mniej przez to efektowny. Mężczyzna, który znał swoją siłę i nie musiał jej nikomu udowadniać, który przy tym potrafił być nieśmiały wobec kobiet. Leigh pamiętała, jak się zaczerwienił, gdy go po raz pierwszy rozbierała i całowała jego silne, chociaż pokryte bliznami ciało, jak drżał, kiedy mówiła mu, jak bardzo go kocha.

Ogarnęła ją fala tkliwości, kiedy poczuła, że ich serca biją we wspólnym rytmie. Jest takie stare powiedzonko o nienawiści do grzechów, ale o miłości do grzeszników. To możliwe, pomyślała. Nie, to więcej niż możliwe. Ona przecież kocha tego mężczyznę.

Łzy napłynęły jej do oczu, poczuła nagły skurcz w gardle. Wybacz, że wymagałam doskonałości od ciebie, skoro sama jestem tak daleka od doskonałości, pomyślała, dotykając lekko ustami jego warg.

Uniósł powieki, po chwili zmrużył oczy.

– To już rano? – zapytał.

– Tak, śpiochu. Nie mów, że cię wykończyłam.

– Jesteś tu jedyną kobietą, więc to oczywiste, że nikt inny nie mógł tego zrobić. Już dawno nikt mnie nie budził pocałunkiem – dodał tuląc ją do siebie.

– Jak dawno?

– Chyba z siedem lat. – Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Roześmiał się.

– Jakoś nie udaje ci się zachować twarzy pokerzysty, Hank. – Odgarnął jej włosy z karku i pocałował.

– Nic mnie to nie obchodzi – obruszyła się, odsuwając nieco szyję.

– – Oczywiście, że nie. Tak samo jak mnie nie obchodzi to, co robiłaś z mężem.

Poczuła na piersiach jego gorący oddech, gdy pochylił się, by pocałować jej wciąż nabrzmiałe sutki. Przeszedł ją prąd. Jak gdyby wyczuwając potrzeby jej ciała, dotykał delikatnie językiem koniuszków piersi.

– Dobrze ci? – wyszeptał.

Westchnęła, nagle niezdolna wydobyć z siebie głosu. To nie może znów się zdarzyć, powiedziała do siebie w duchu, a może chciała powiedzieć, ale jej ciało za wszelką cenę pragnęło ulec odwiecznemu instynktowi. Tym razem niech będzie córeczka, pomyślała, jakby wbrew sobie.

– Najdroższa, obejmij mnie – usłyszała słowa Kalera. – Chcę czuć na sobie twoje piersi, chcę czuć...

– Słowa uwięzły mu w gardle. Jęknął.

Zsunął rękę pieścąc jej najbardziej czułe miejsce. Przeszedł ją dreszcz pożądania. Wydawało jej się, że nie zniesie dłużej dotyku jego palców. Oszalałymi ją jego pocałunki, czułe dotknięcia, znane od dawna, gdy odkrył przed laty, jak może jej sprawić przyjemność.

Leigh wiała się pod jego dłońmi, przyciągając go do siebie coraz mocniej. Kurczowo chwytala go za ramiona, za ręce, chciała całego czuć na sobie.

Kiedy zamiast dłoni poczuła pieszczotę jego warg, krzyknęła z rozkoszy. Pieścił delikatnie językiem najbardziej czuły i gorący fragment jej ciała.

Nie panowała dłużej nad sobą. Chwyciła go kurczowo za włosy, przycisnęła jego głowę do łona, jęczała z pragnienia, z rozkoszy.

– Wejdź we mnie – wyszeptała. – Chcę cię czuć w sobie.

– Jesteś pewna?

– Tak, tak, proszę.

Zadrzał i uniósł się nieco. Zobaczyła nad sobą jego twarz, niebieskie, pociemniałe teraz z namiętności oczy.

Wsunął się w nią. Stało się to, czego pragnęła od tak dawna. Ogarnęła ją niemoc, wydawało jej się, że ziemia usuwa się spod niej, traciła świadomość.

Poruszał się delikatnie, potem coraz gwałtowniej, w dobrze znanym jej rytmie. Nagle uświadomiła sobie, że kocha się z nią jak ktoś, kto przez bardzo długi czas odmawiał sobie tego rodzaju fizycznej przyjemności.

W chwili najwyższej rozkoszy wykrzyknęła jego imię nieomal z rozpaczą, zawierając w tym okrzyku wszystkie długo tłumione uczucia, emocje, namiętności.

A gdy już wszystko się skończyło, leżeli obok siebie, szczęśliwi, nasyceni, ukojeni. Kaler przymknął oczy. Usłyszała jego głęboki, równy oddech. Zasnął.

Wysunęła się z jego ramion i usiadła. Czuła cudowne odprężenie, ale piersi wciąż jeszcze miała obrzmiałe i stwardniałe po niedawnym podnieceniu. Uśmiechnęła się i przycisnęła dłonie do brzucha. Zastanawiała się, czy powstanie w niej teraz nowe życie.

Dziecko, dziecko Kalera, pomyślała. Bóg daje nam szansę po raz drugi. Ubrała się po cichu, wymknęła z namiotu i skierowała ku zarośłom.

Kaler wciągnął koszulę. Gdzie ona się, u diabła, podziewa? Nie ma nic lepszego do roboty, tylko włóczyć się sama po tej niebezpiecznej okolicy?

Ubrał się pospiesznie, wciąż jeszcze zaspany, i wyskoczył przed namiot. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz zdarzyło mu się zasnąć po wschodzie słońca i kiedy to kobieta opuściła łóżko bez jego wiedzy.

Słońce świeciło jasno, w powietrzu unosił się zapach (kawy. Zobaczył Leigh pochyloną nad ogniskiem. Miała na sobie obcisłe dzinsy, uwypuklające zgrabną figurę, i złotawy podkoszulek, prowokacyjnie uwidaczniający zarys jej piersi.

– Dzień dobry – zawołała lekko zachrypniętym głosem. Ich spojrzenia spotkały się. Poczuł, że pieką go oczy. Od wiatru i dymu, wytłumaczył sobie w duchu.

– Powinnaś była mnie obudzić. Nie lubię, jak kręcisz się tutaj sama.

Uśmiechnęła się. Ogarnęła ją fala tkliwości i czułości. Ten mężczyzna zbyt długo był sam. Potrzebował dużo serca. Dużo miłości.

– Nie martw się. Usłyszałybyś, gdyby coś się działo.

– Gdyby zaatakowała cię puma, nie zdażyłyabyś nawet pisnąć.

– Zapamiętam to.

– Postaraj się.

– Zrobiłam bardzo mocną. – Nalała mu kawy.

– Myślę, że pójdziemy na zachód, w kierunku Elk Peak – powiedział, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej rzeczowo i obojętnie. Nigdy jeszcze nie czuł się tak zażenowany i skrępowany, od czasu gdy skończył szesnaście lat.

– Elk Peak? Czy tam są pola namiotowe? – Leigh wróciła do rzeczywistości. Przez chwilę zapomniała, po co tu przybyli. Kaler nie mógł sobie pozwolić na luksus zapomnienia. Nawet wtedy, kiedy odkrył, jak bardzo działa na niego ta kobieta, którą za wszelką cenę chciał wykreślić ze swego życia.

– Nie ma. Tak naprawdę, jest tam zupełna dzicz.

– To dlaczego...

– Bo tam jest gęsty las, dużo wody i odpowiednie miejsce dla yeti.

– Mówisz poważnie? – Leigh była wyraźnie zbита z tropu.

– Ależ tak. Jeśli twój ojciec rzeczywiście chciał wziąć Danny'ego na poszukiwanie Człowieka Śniegu, to na pewno udał się w tamtym kierunku. Ten facet jest bufonem, ale słowa dotrzymuje.

– To ma być komplement czy obelga?

– Nie wiesz?

– Z tobą nigdy nic nie wiadomo.

Nie umalowała się, była blada, tylko na jednym policzku miała czerwoną smugę.

– To ja zrobiłem? – zapytał dotykając lekko jej twarzy.

– Myślę, że wspólnie.

– Żałujesz? – zapytał ostrożnie.

– Nie, nie żałuję. Może tylko trochę się boję.

– Możliwości zajścia w ciążę? – Zabrzmiało to jakoś bardzo medycznie, zupełnie inaczej niż w nocy, gdy ogarnęło go nieodparte pragnienie zostania ojcem.

– Skłamałabym, mówiąc, że nie.

– Leigh – Kaler chwycił ją za ramiona i zwrócił ku sobie – przyznaję, że wiele spraw muszę jeszcze przemyśleć, ale jedno wiem na pewno. Nic na świecie nie sprawiłoby mi większej radości niż ujrzenie ciebie noszącej moje dziecko.

Przytulił ją i delikatnie pocałował. W oczach Leigh pojawiły się łzy. Otarł je kciukiem.

– Zapamiętaj to, co powiedziałem. – Raz jeszcze ją pocałował, myśląc, że powinien powiedzieć coś więcej.

Słowa, które powinna usłyszeć matka od ojca swego syna. Słowa, które czuł i znał, ale których nigdy nie był w stanie wypowiedzieć.

Kilka godzin później Leigh sprzątnęła po drugim śniadaniu. Kaler siedział obok. Odpoczywali. Słońce było już wysoko. Przed nimi rozciągał się widok na Elk Peak, którego wierzchołek pokrywał śnieg.

– Dziwne, że tutaj, w górze, wiatr jest aż taki zimny – przerwała milczenie Leigh.

– Wieje od gór. W dawnych czasach ludzie ciągnęli w dół na saniach bryły lodu, a później przeładowywali je na wagony zaprzężone w konie.

– Niezależnie od wszystkiego jest tutaj pięknie. Rozumiem teraz, dlaczego wróciłeś.

– Mój brat, Andy, zawsze twierdził, że w górach działają jakieś tajemne siły. Przysięgał, że tutaj straszy.

– Kto?

– Indianie. Zaklinał się, że widział ich duchy.

– A ty je widziałeś?

– Nie w tym sensie, w jakim rozumiał to Andy.

– Kiedy byłam mała, miałam w pokoju taką szafę, do której można było wejść. Sara, moja niania, nazywała ją „szafą za grzechy”. Mówiła, że kiedy jestem niegrzeczna, wypuszczam z szafy złego ducha, który mnie straszy. Bywały dni, kiedy mój pokój był straszliwie zatłoczony.

– Do diabła, w moim domu nie byłoby takiego pokoju – zaśmiał się Kaler.

– Założę się, że już jako dziecko byłeś kimś.

Na dobrą sprawę nigdy nie był dzieckiem. Kiedy miał tyle lat co Danny, znał już dwie prawdy: że nie należy się oszczędzać i że trzeba schodzić z drogi Patrickowi.

– A jak jest z Dannym? – zapytał. – Ma swoją szafę?

– Nie, ale to nie znaczy, że nie robi kawałów, zwłaszcza ostatnio. Dawniej był idealnym dzieckiem, – prawie nigdy nie płakał, był posłuszny. Moi przyjaciele nie mogli się nadziwić, że był zawsze uśmiechnięty i zadowolony.

– I co się stało?

– Sama chciałabym wiedzieć. Czasem myślę, że po prostu pewnego ranka obudził się i postanowił doprowadzić swoją matkę do szału.

– Udało mu się?

– Jeszcze nie, ale nieraz z trudem się powstrzymywałam, zwłaszcza kiedy wzywano mnie do szkoły na „przyjacielską pogawędkę” – westchnęła. – Zdaje się, że kochany Daniel ma wyjątkową skłonność do awantur, zwłaszcza gdy ktoś mu się da we znaki.



– Wygląda na to, że powinno się uczyć go boksu – stwierdził Kaler, wpatrując się we własną pięść.

Czyżbyś chciał to robić? omal nie zapytała Leigh.

Powstrzymała się jednak. Temat Daniela wciąż jeszcze był niebezpieczny.

– Boję się, że to tylko pogorszyłoby sprawę – powiedziała. – Teraz bije się tylko z dziećmi w swoim wieku. Nie daj Boże, by miał atakować większych.

– Może daliby mu nauczki.

– Może. A jak było z tobą? Miałaś kłopoty w szkole?

– Leigh zręcznie zmieniła temat.

– Miałem okropny charakter. Dawałem się podpuszczać silniejszym i nieraz nieźle oberwałem. Kiedyś nawet leżałem już nieprzytomny w śniegu i pewno bym zmarzył, gdyby mnie matka nie znalazła. Wtedy postanowiłem sobie, że już nigdy nie przegram walki. W każdym razie walki na pięści.

– I zacząłeś uczyć się boks, co?

– Zacząłem uczyć się walczyć – skorygował. – Boks uczyli mnie żołnierze.

– De miałaś wtedy lat?

– Osiemnaście. Po jednej z walk pewien pułkownik zaproponował mi, żebym zaciągnął się do tajnej jednostki elitarniej, którą formował. Powiedział, że spełniam wszystkie wymogi.

– Wymogi czego?

– O to właśnie spytałem. Zarzucił mnie słowami, ale wszystkie one sprowadzały się do jednego. Zalegalizowany morderca. Zamachowiec. Powiedział, że mam do tego instynkt. Podobno widział to w moich oczach w czasie walki.

Leigh głęboko zaczerpnęła powietrza. Być może kiedyś, dawno temu, nie bardzo by w to wierzyła. Dziś było inaczej. Takie rzeczy zdarzały się w czasie wojny w Wietnamie, a podobno zdarzają się i obecnie.

– Przyjąłeś jego propozycję?

– Nie, ale miałem na to ochotę.

Kaler nadal wpatrywał się w swoją dłoń. Dotykał nią w życiu wielu kobiet, ale ciało zapamiętało tylko jedną, Leigh. Nigdy nawet nie zastanawiał się nad tym, dlaczego. Teraz wiedział. Kochanie Leigh, bycie przez nią kochanym było czymś najintymniejszym, co mogło się zdarzyć między mężczyzną a kobietą.

– Nie jesteś mordercą, który zabija z zimną krwią – powiedziała. – Gdybyś nim był, zaciągnąłbyś Mendozę w ciemną uliczkę i wpakował mu kulę w łeb.

– Myślałem o tym, wierz mi. Nieraz jeszcze myślę, że trzeba to było zrobić.

– Żałuję, że kiedykolwiek usłyszałam o tym człowieku.

– Ja też. – Kaler objął ją ramieniem, przytulił. Nauczył się już żyć z poczuciem winy i bólu. Nie – nauczył się wybaczać samemu sobie, że okazał się ludzki.

Wiatr wzmagał się. Leigh zadrżała i przywarła do niego mocniej, jakby pragnęła ogrzać się od jego ciała.

Zaczął całować jej usta, najpierw gwałtownie, niemal z rozpaczą, później z coraz większą czułością i delikatnością. Leigh gładziła palcami jego policzki, czując lekki zarost.

– Boli, prawda? – zapytał surowym tonem.

– Co takiego?

Głos jego nagle złagodniał.

– Poczucie winy.

– O tak, boli – odpowiedziała i sięgnęła po plecak.

## Rozdział 8

Ślady stóp, tak wyraźne na miękkim podłożu, stały się prawie niedostrzegalne, gdy doszli do skalistej platformy, wznoszącej się nad Lodowym Kanionem. Przez ostatnią godzinę Kaler przemierzał wzdłuż i wszerz twardy grunt, starając się odnaleźć ślady. W końcu zauważył je, ledwo widoczne w kępie trawy na samym końcu skalistego występu.

– To ślady ojca i Daniela? – zapytała niespokojnie Leigh.

– Nie, to ślady zwierzęcia – odparł.

– Pумы? – W głosie Leigh pobrzmiwało rozczarowanie.

– Tak. Widzisz różnicę w ich głębokości? Okaleczoną łapę stawia lżej niż pozostałe. – Mierzył wzrokiem odległość między śladem tylnej i przedniej łapy. Sto osiemdziesiąt centymetrów od nosa do ogona, ocenił. Jeden z największych okazów, jakie można spotkać w tej okolicy.

– To świeże ślady? – zapytała Leigh.

– Ziemia musiała być wtedy lekko wilgotna. Myślę, że od rosy, a to by znaczyło, że było to wczesnym rankiem, zanim jeszcze słońce wysuszyło ziemię.

– Wczesnym rankiem dzisiaj?

– Być może, chociaż raczej w to wątpię.

– A więc ruszajmy w kierunku Elk Peak. – Odwróciła się i popatrzyła na szczyt pokryty śniegiem.

Już, synku, mamusia idzie do ciebie. Zaciśnęła powieki. Danny'emu nic się nie stało, powtarzała w myślach jak zaklęcie. Ojcu też nic nie jest i nic mu nie będzie. Niedługo zawiozę go do lekarza.

Kaler widział jej szczupłe, delikatne ramiona, na które nakładała teraz z trudem ciężki plecak. Miał wrażenie, że gdyby puma spojrzała tylko na jej synka, Leigh rzuciłaby się na nią z gołymi rękami.

Miłość może działać cuda, pomyślał. Może dać człowiekowi nieoczekiwaną siłę, ale może go też całkowicie zniszczyć. Wstał, otrząsał ręce z ziemi.

– Ruszamy za pumą – oznajmił zdecydowanym tonem.

– Ale mówiłeś, że jesteśmy już blisko. Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy...

– Jeśli twój ojciec rozbił namiot gdzieś tutaj, znajdziemy go – przerwał jej ostro. – A tymczasem pójdziemy śladami pумы.

Zwierzę prawdopodobnie nie jest w stanie normalnie polować, ale wszystkie zmysły ma sprawne. Jeśli poczuje ludzi, znajdzie ich.

– Ale...

– Wszystko po kolei, Leigh. Puma, która czuje zapach ludzkiej krwi, jest bardziej niebezpieczna niż tętniak.

– Rozumiem – odpowiedziała Leigh, starając się ukryć wrazenie, jakie zrobiły na niej te słowa.

Kaler zganiał sam siebie. Był zbyt brutalny. To przecież zrozumiałe, że martwi się o swoich najbliższych.

– Chodź tutaj – wymamrotał i przyciągnął ją do siebie. Przywarła do niego całym ciałem, objęła go mocno w pól.

– Tak się boje – wyszeptała, tuląc twarz do jego piersi.

– Wiem, maleńka. – Czuł się bezradny, tak samo bezradny jak owego ranka w Da Nang, gdy dowiedział się, co stało się z Andym.

– Robisz, co możesz – powiedziała. – Musisz przecież myśleć i o innych dzieciach... jak ta mała dziewczynka, która bawiła się na podwórzu. – Rozpłakała się.

Wziął ją w ramiona. Pocałował. Usiedli na trawie.

– Kaler... – zaczęła.

– Cicho, nic nie mów. – Pocałował jej wilgotny policzek. – Wypłacz się, dobrze ci to zrobi.

– Ja nigdy nie płaczę – broniła się.

– A więc zrób wyjątek. – Mruczał pod nosem słowa, którymi uspokajał swych braci i siostry, gdy czuli się skrzywdzeni i nieszczęśliwi.

– Co by powiedziała moja biedna mama, gdyby mnie teraz zobaczyła? – powiedziała Leigh wycierając nos.

– Powiem ci. Przyzwoita panna nie powinna wyglądać tak seksownie z opuchniętymi oczami i plamami na twarzy.

– Ciągłe sobie powtarzam, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko zachowam spokój – mówiła wtulona w jego ramię. – W pracy to zawsze skutkowało, ale tutaj... przepraszam, naprawdę.

– W porządku, ja też przepraszam, że spartaczyłem robotę siedem lat temu i zniszczyłem wszystko, co było między nami.

– To już przeszłość.

– Nie. Chciałbym, żeby tak było.

– Gdybyś mi wtedy powiedział o Andym, zrozumiałabym.

– Być może, ale to nie znaczy, że miałem rację. Byłem skłonny poświęcić życie człowieka. Uważałem, że nie zasługuje ani na to, żeby żyć, ani na sąd, ani na

proces.

– Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy.

– Widocznie za mało.

Tym razem nie czekał, aż Leigh da sygnał do wymarszu. Podniósł się, pomógł jej wstać, zarzucił plecak. W tym samym momencie usłyszał ciche kroki z lewej strony. Błyskawicznie chwycił za karabin.

– Hej, Kaler. Nie denerwuj się, chłopie.

Był to Guntar. Stał w odległości kilkunastu metrów, z rozłożonymi rękami.

– Zastanawiałem się, co z tobą, Maks – powiedział Kaler, zdejmując palec ze spustu. – Przykro mi z powodu psa.

W oczach mężczyzny widać było ból i Leigh wyczuła, że przyrodni brat Kalera naprawdę kochał tego zwierzę, mimo że nieraz traktował go okrutnie.

– Mnie również, panie Guntar – dodała.

– Byliśmy partnerami, Pocisk i ja. Niejeden raz uratował mi życie. Nie zasłużył na taką śmierć.

– Nikt na to nie zasługuje.

Nagle oczy Guntara stały się lodowate, znikło z nich wszelkie człowieczeństwo.

– I tu się mylisz – powiedział wbijając wzrok w karabin Kalera. – Ten kot należy do mnie. Zgoda?

– To zależy.

– Jeśli martwisz się o te sześć tysięcy, które farmerzy – już ci wypłacili, to możesz je zatrzymać. Po prostu zostaw mi pumę, a ja nie pisnę słowa.

– Nie biorę pieniędzy za nic.

– Tak, tak, znam te twoje żelazne zasady. – W głosie Guntara wyczuwało się drwinę. – Wyszedł bohater na wojnę i nigdy nie wrócił.

Kaler wpatrywał się w ślady. Na tym dzikim odludziu wszelkie negocjacje z Maksem stawały się niebezpieczne, zwłaszcza w obecności Leigh. Być może, w przeciwieństwie do Kalera, nie uświadamiała sobie powagi sytuacji. Maks miał już na sumieniu jedno zabójstwo, kiedy chciał dostać to, na czym mu zależało. Może to zrobić jeszcze raz.

– Daj mi słowo, że zabijesz ją tak, by się nie męczyła, a będzie twoja – zdecydował Kaler.

– Co to, to nie! Kiedy dorwę tego przeklętego kota, będzie żałować, że się w ogóle urodził. Mężczyzna nie byłby mężczyzną, gdyby się nie zemścił.

– Jeden strzał, Maks. W głowę albo w serce. Żądam twego słowa.

– Żądasz? – Twarz Guntara poczerwieniała z wściekłości. – A kto ci dał prawo

wydawania mi rozkazów?

Kaler spokojnie zbliżył się do niego, sięgnął do kieszeni, wyjął coś i podał. Była to obroza Pociska.

– Twój pies zginął, bo robił to, czego go nauczyłeś – atakował. Puma broniła się i wygrała walkę. Nie zasługuje na to, by się nad nią znęcać. – Cedził słowa powoli, przez zęby. Guntar cofnął się parę kroków.

– Gdyby to twój pies został rozerwany na kawałki, nie mówiłbyś tak!

– Byłbym tak samo przygnębiony jak ty i nic by mnie nie powstrzymało przed zabiciem tego zwierzęcia, ale nie z zemsty. Masz na to moje słowo. Tracisz – tylko czas, jeśli myślisz, że masakra dokonana z zimną krwią pomoże ci!

– Do diabła, Kale. Muszę ją mieć! Żeby Pocisk mógł spoczywać w spokoju.

Kaler rozumiał to aż za dobrze.

– Jeden strzał, Maks. Śmierć za śmierć. Daj mi słowo i puma jest twoja.

– No dobrze, masz moje słowo.

Podali sobie dłonie i Guntar odwrócił się, by odejść. Nagle zawahał się.

– A co do tego mężczyzny i chłopca, to widziałem ich dzisiaj rano jakieś osiem kilometrów stąd na południe. Przygotowywali się do rozbicia namiotu.

Nie czekając na podziękowania, odwrócił się i poszedł w swoją stronę.

– Dlaczego nie próbował wykorzystać tej informacji, wymienić jej na pumę? – zastanawiała się Leigh, zdumiona takim obrotem sprawy.

– Na swój własny pokrętny sposób Maks jest człowiekiem honoru – uśmiechnął się Kaler. W innych okolicznościach życiowych mogliby zostać przyjaciółmi. – Krew za krew, to dla niego uczciwe, ale żywi ludzie jako karta przetargowa – nie.

Kaler uświadomił sobie, że z biegiem czasu i doświadczenia różnice między nim a Guntarem zamiast się zmniejszać, jeszcze się pogłębiły. W milczeniu pomógł Leigh zarzucić plecak.

– No, chodźmy, mamusku. Musimy znaleźć twego dzieciaka i jego dziadka.

– Kaler, co do Danny'ego... – zaczęła.

– Nie martw się, kochanie. Nie zamierzam wdzierać się na siłę ani w jego życie, ani w twoje.

– Ale...

– Żeby być rodzicami, trzeba czegoś więcej niż samej biologii, Leigh. Oboje to wiemy. – Uniósł jej podbródek i pocałował, zanim ruszyli w dalszą drogę.

– Tam, około dziesięciu metrów na lewo od tej odkrytej skały. – Kaler podał Leigh lornetkę.

Chwyła ją niecierpliwie i zaczęła wpatrywać się we wskazane miejsce. Było

późne popołudnie. Z tej odległości z trudnością mogła cokolwiek zobaczyć.

– Myślisz o tej chmurze? – zapytała.

– To nie chmura. To dym.

– Dym? To znaczy... to znaczy, że wypuszczają sygnały dymne!

– Spójrz niżej. Widzisz tę czerwoną plamę?

– Mój Boże, Kaler, znalazłeś ich! Znalazłeś!

– Dzięki pomocy Maksa.

– Co tam Maks! Bez niego też byś sobie poradził.

Rzuciła mu się na szyję z takim impetem, że omal się oboje nie przewrócili.

– Ojciec i Daniel są bezpieczni! – krzyczała, na zmianę to śmiejąc się, to płacząc ze szczęścia.

– Na to wygląda – potwierdził patrząc w jej błyszczące oczy. W blasku zachodzącego słońca wydawały się złote, a rzęsy rzucały na policzki intrygujący cień.

Wziął ją w ramiona. Nie wiedział, kto uczynił pierwszy ruch, ale nagle poczuł jej wargi na swoich.

Zapomniał już, jak błyskawicznie Leigh potrafi rozbudzić w nim pożądanie, nawet jeśli postanawiał sobie panować nad emocjami. Zrobiła to właśnie teraz, gdy położyła dłonie na jego twarzy i przytuliła się do jego piersi.

Całował ją tak długo, aż oboje poczuli, jak krew uderza im do głowy, a serca biją przyspieszonym rytmem.

– Koniec naszej podróży, Hank. Będzie mi ciebie brakowało.

Zamarła, tylko usta jej drżały. Uspokoił je pocałunkiem. Spojrzał w jej twarz. Widział na niej zmieszanie połączone z wdzięcznością.

– Nie wiem, jak ci dziękować. Gdyby nie ty... – Głos odmówił jej posłuszeństwa.

– Bez przemówień, Hank. Powiedzmy, że byłem ci coś dłużny i zostawmy to tak jak jest.

Miejsce obozowiska było uprzątnięte, ognisko obłożone kamieniami. Parę metrów dalej stał trzyosobowy czerwony namiot z tropikiem i przedsionkiem chroniącym od deszczu i wiatru.

Przy ognisku siedzieli w kucki siwobrody mężczyzna w dresie i chłopiec w podkoszulku uniwersytetu Georgetown.

Kaler zatrzymał się na skraju obozowiska. Leigh poszła dalej sama. Pierwszy zauważył ją ojciec. Kaler obserwował, jak na jego twarzy ciekawość mieszała się z

zaskoczeniem, a potem z wielką radością. Słyszając szept dziadka chłopiec błyskawicznie się odwrócił i Kaler ujrzał twarz Leigh w miniaturze.

– Mama, mama! – zawołał chłopiec i rzucił się ku niej.

Leigh przyklękła i chwyciła go w ramiona. Przymknęła oczy, starając się powstrzymać łzy cisnące się pod powieki.

– Tak bardzo za tobą  tęskniłam , synku – wyszeptała.

– Ja też, mamusiu.

– Jak wam tu było razem?

– Świetnie, tylko że jeszcze nie znaleźliśmy yeti, prawda, dziadku?

– Dotąd nie, ale przed nami jeszcze dziesięć dni. Widzę, że w końcu ty też zdecydowałaś się spędzić urlop z nami...

– Niezupełnie.

Ambasador uniósł brwi.

– Hm, to brzmi tajemniczo, ale może porozmawiamy o tym, jak zjemy kolację.

– Mamy hot dogi – poinformował Daniel i zwrócił się w stronę Kalera. – A kto to jest ten pan z karabinem, mamó?

– To pan Kaler. – Leigh zmusiła się do uśmiechu.

– Pomógł mi was odnaleźć.

– Dlaczego ma karabin?

– Na wypadek, gdyby yeti nie był zadowolony z naszej wizyty.

– Och, mamó, co ty mówisz!

– Ojczy, pamiętasz Maksa Kalera? – zwróciła się do starszego pana.

Bradbury zatrzymał wzrok na twarzy przybyłego mężczyzny.

– Skłamałbym mówiąc, że jest pan tu mile widziany.

– Ton ojca Leigh nic się nie zmienił od czasu, gdy Kaler widział się z nim po raz ostatni.

– Skłamałbym mówiąc, że jestem szczęśliwy z tego spotkania – odparował Kaler.

– Dajcie spokój – przywołała ich do porządku Leigh. – To Daniel – przedstawiła Kalerowi syna.

– Czy naprawdę zastrzeliłby pan kogoś z tego karabinu? – dopytywał się chłopiec.

– Tylko wtedy, gdybym musiał.

– Pan Kaler jest przewodnikiem i tropicielem, kochanie. Wie wszystko o górach – wyjaśniła Leigh.

– A my z dziadkiem polujemy na Człowieka Śniegu – poinformował Daniel. –



Pewno widział pan jego ślady?

– Jeszcze nie. A ty? Znalazłeś już jakieś?

– Słyszałem jakieś dziwne pomrukiwanie tej nocy.

– Daniel zmarszczył brwi. – Tuż obok namiotu.

Dziadzius mowił, że to może yeti nas wytropił.

– Jakiego rodzaju to był dźwięk?

– To było pomrukiwanie yeti – powtórzył Daniel, absolutnie pewny swego. – Niech pan spyta dziadziusia. Gdy tylko je usłyszeliśmy, rozpałił duże ognisko, żebyśmy mogli go lepiej widzieć.

– I zobaczyliście coś szczególnego? – Kaler przeszył wzrokiem starszego pana.

– Chyba ogień go wystraszył – potrząsnął głową Bradbury.

Kaler obrzucił teren uważnym spojrzeniem. Musiał przyznać, że Bradbury zrobił wszystko jak należy. Wybrał dogodny teren. Nie było tutaj gęstych zarośli ani zwisających nisko gałęzi, w których mógłby się ukryć jakiś drapieznik. Na kamienistym podłożu byłoby słycać każdy krok większego zwierzęcia.

– Wygląda, że tu jest dość bezpiecznie – ocenił, a starszy pan wyprężył się z godnością.

– Nie jestem amatorem, panie Kaler.

Leigh rzuciła Kalerowi surowe spojrzenie. Nie potrzebował słów, by wiedzieć, o czym myślała.

– Zostaniesz tutaj na noc? – zapytała.

-Tak.

Ojciec popatrzył na Leigh z dezaprobatą, ale nie bardzo się tym przejęła. Ona widziała krwawe zwłoki psa, on nie podejrzewał niebezpieczeństwa.

– Nie wiem, jak wy, ale ja jestem głodna jak wilk – powiedziała, patrząc z uśmiechem na syna, zafascynowanego widokiem obcego mężczyzny z karabinem na ramieniu.

– Ja też – zawołał Danny.

– No to ja przygotuję te hot dogi, a ty, Danielu, pomóż panu Kalerowi rozbić namiot – zaproponowała. Spojrzała w kierunku Kalera. Zobaczyła w jego twarzy czujność i niepokój.

– Ja potrafię rozbić nasz namiot sam – pochwalił się chłopiec.

Leigh obserwowała obu, Kalera i Danny'ego. Wreszcie się spotkali, wreszcie byli razem.

– Przypuszczam, że masz jakieś powody, aby być znowu z tym człowiekiem? – zapytał ojciec niskim, ściszym głosem. Spojrzała mu prosto w twarz.

– Oczywiście, że mam, i wolałabym, abyś go nie nazywał „tym człowiekiem”.

– To nie jest ktoś odpowiedni dla ciebie, Leigh. Znowu przysporzy ci cierpień.

– On też przeze mnie cierpiał.

– Zrobiłaś to, co do ciebie należało. – Bradbury był nieubłagany. – Ten człowiek był hańbą dla samego siebie i dla kraju.

– Był jednym z najlepszych pracowników w historii służb celnych – oburzyła się Leigh.

– Ale splamił je swoim haniebnym postępkiem.

Trudno było gniewać się na ojca, że posłużył się tymi samymi argumentami, którymi ona broniła się przed laty. Jak mogła kiedyś rościć sobie prawo do orzekania o tym, co słuszne i sprawiedliwe? – zastanawiała się ze smutkiem.

– Na twoim miejscu, ojczy, nie oceniałabym go zbyt pośpiesznie – powiedziała z gorzkim uśmiechem. – Kaler i ja jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż ci się wydaje.

## Rozdział 9

Kaler zdjął koszulę, otarł nią pot z czoła i rzucił na trawę. Chwycił siekierę, sprawdził kciukiem ostrze.

– Mama mówi, że nie powinienem dotykać ostrych rzeczy. – Daniel podał mu kolejny drewniany klocek i cofnął się o krok.

Od czasu, gdy skończyli rozbijać namiot, chodził za nim jak cień. Z początku Kalera to denerwowało, wkrótce jednak przestał się irytować, a po pewnym czasie doszedł nawet do wniosku, że towarzystwo chłopca zaczyna mu sprawiać przyjemność.

– Mama ma rację. W każdym razie musisz być szczególnie ostrożny, dopóki ktoś cię nie nauczy, jak się obchodzić z ostrymi narzędziami.

– A pana ktoś nauczył?

– Nie, i nieraz pokaleczyłem sobie palce.

Kaler rozłupał klocek i porąbał go na drobne kawałki, które Daniel od razu pozbiierał i rzucił na rosnący w oczach stos drewna.

– Chciałbym być taki silny jak pan – powiedział z zachwytem w głosie.

– Kiedyś będziesz.

– Mama nieraz mnie prosi o otwarcie słoika, a czasami pomagam jej nosić sprawunki ze sklepu. Mówi, że w domu jestem jej najlepszym pomocnikiem.

– Jestem pewien, że tak jest.

Chłopak bawił się sosnową szyszką. Kaler zauważył, że stale ma czymś zajęte ręce. Bardzo mu przypominał Andy'ego, kiedy brat był małym chłopcem.

– Mój tata umarł, kiedy byłem mały.

– To musiało być dla ciebie bardzo przykre...

– Właściwie prawie go nie pamiętam. – Daniel wzruszył ramionami. – Mama mówi, że bardzo mnie kochał, ale był chory i dostał ataku serca, i lekarze nie mogli mu pomóc. A pan znał mego tatę?

– Nie, Dan, nie znałem go. Ale jestem przekonany, że był wspaniałym mężczyzną. W przeciwnym wypadku twoja mama by za niego nie wyszła.

– Ona mówi, że zawsze powinienem być dumny, że się nazywam Pinchot i że dużo ważnych ludzi wie, kim był mój tata. A dziadek mówi, że an... antenaci są bardzo ważni.

– Dziadek ma rację. – Kaler uderzył siekierą z takim impetem, że klocek rozleciał się w drzazgi. – Rodzina jest czymś bardzo ważnym.

Daniel odchylił się do tyłu i rzucił szyszkę daleko w krzaki. Rozległ się głośny jazgot poirytowanych ptasich głosów.

– Dobry rzut – pochwalił Kaler.

– A kiedy gramy w piłkę na wakacjach, nigdy nie trafiam do celu... – Oczy Daniela od razu posmutniały.

– Dlaczego? – Kaler uznał, że narąbał już dostatecznie dużo drewna, i odłożył siekiere.

– Nie wiem – odparł chłopiec z ponurą miną. – Mama próbowała mnie nauczyć, ale jeszcze gorzej jej to wychodzi niż mnie.

Kaler żałował, że nie mógł zobaczyć Leigh, stojącej na boisku z piłką w ręku. Oczami wyobraźni widział już skupienie na jej twarzy i napięte mięśnie pod cienkim podkoszulkiem.

– Może i mamę powinien ktoś nauczyć.

– Strasznie wymyśla piłce, kiedy jej się wydaje, że nie słyszę.

– Następnym razem, kiedy to zrobi, zaciągnij ją do łazienki i umyj jej buzię mydłem.

– Pana mama tak robiła, jak pan był niegrzeczny?

– zainteresował się chłopiec.

– Czasami. – Najczęściej matka Kalera musiała uciekać się do ostrzejszych środków, żeby jej posłuchał. Niełatwo zmieniał swe zamiary, gdy raz się na coś zdecydował.

– Podoba mi się ten pomysł – zaśmiał się Daniel.

– Ona ma takie idiotyczne różowe mydło w łazience.

Założę się, że jest ohydne w smaku!

– Niech ci to nawet nie przyjdzie do głowy, Danielu Pinchot!

Na ziemi pojawił się nieoczekiwane cień Leigh. Serce Kalera zabiło mocniej na dźwięk jej głosu. Podniósł głowę i powiódł wzrokiem po długich nogach, po biodrach, pełnych piersiach rysujących się pod luźną złotawą bluzką.

– Oho – odezwał się do Daniela. – Coś mi się zdaje, żeśmy podpadli twojej mamie.

– Powiem dziadkowi o tym mydle – zachichotał chłopiec i pobiegł w kierunku namiotu.

– Widzę, że Danny naskarżył na mnie – powiedziała Leigh podchodząc bliżej.

– Tak, trochę.

Ciągle czuł na sobie jej wzrok. Kiedy Daniel pomagał mu rozbijać namiot, zauważył, że rzuca ku nim baczne, niespokojne spojrzenia jak mama

niedźwiedzica, która czuwa nad swoim małym i umiera ze strachu, że mogłoby mu się coś stać.

Chciałby ją zapewnić, że w jego towarzystwie chłopiec jest bezpieczny, że będzie go pilnował, ale co z tego? Próbował przecież kiedyś opiekować się Andym...

– Powiedziałam ojcu o tętniaku, kiedy zbieraliście z Danielem chrust – oznajmiła, spoglądając ukradkiem za siebie.

– No i jak to przyjął?

– Ze stoickim spokojem. Zgodził się ze mną, że powinien posłuchać lekarza, i zaproponował, byśmy jutro ruszyli z powrotem.

– Nie zajmie nam to więcej niż trzy dni.

– W dół, dzięki Bogu.

– Szkoda, że nie musieliśmy wzywać helikoptera. Ambasador byłby zadowolony, gdyby miał godny siebie, efektowny powrót.

Zebrali kilka polan i przenieśli je do ogniska.

– Czym mogę służyć? – zapytała Leigh, gdy Kaler rozpałił już ogień i można było przygotować hot dogi.

Kaler strzepnął z ramienia kawałki kory i uśmiechnął się.

– Miałbym ochotę na gorącą kąpiel i zimne piwo.

– Bardzo mi przykro, sir – powiedziała uprzejmie swoim charakterystycznym akcentem z Południa. – Właśnie skończyło nam się piwo i wanny. Ale może być wiadro wody i cola.

– Pod warunkiem, że podasz mi ją tak, jak podałaś kiedyś na urodziny francuskiego szampana.

– Czy ktoś powiedział ci kiedyś, że prowadzisz nieczystą grę? – spytała.

– – Gry są dla dzieci, które mają na nie czas, Leigh.

Ja się tym nie zajmuję.

Podeszła bliżej. Położył dłoń na jej nagim ramieniu, przypominając sobie ciepło jej ciała, gdy leżała wtulona w niego w namiocie. Dawno już nie był tak szczęśliwy jak owego ranka. Niemal zapomniał, że można się czuć tak wspianale.

– Nie patrz na mnie w ten sposób – wyszeptała, nawijając sobie na palce kosmyk jego włosów.

– To znaczy jak?

– Jak gdybyś żałował, że spotkaliśmy się u Belle pięć dni temu.

– Co ty mówisz?

– Widzę to... – Chciała się odwrócić, ale chwycił ją za rękę.

– Wtedy sprawy wyglądały inaczej. Miałem masę roboty, kilku przyjaciół, a od czasu do czasu kobietę, która nie miała zbyt dużych wymagań. To mi wystarczało. W każdym razie tak myślałem.

– A teraz?

– Teraz wszystko się zmieniło, ale nie ma w tym zupełnie twojej winy. – Patrzył na wznoszący się przed nimi ośnieżony szczyt i myślał o tym, że resztę życia spędzi samotnie.

– Kaler, posłuchaj, sam przecież mówiłeś o drugiej szansie... – Przytuliła się do niego, poczuł na szyi jej gorący oddech.

– Mamo, ty naprawdę pocałowałaś pana Kalera? – usłyszeli nagle głos Daniela. Starszy pan stał ze zmarszczonymi gniewnie brwiami, trzymając chłopca mocno za rękę.

– Tak, kochanie, właśnie odbyliśmy bardzo ważną rozmowę – uśmiechnęła się Leigh.

– Zatrzymała wzrok na twarzy ojca. W tej samej chwili Kaler poczuł jej palce zaciskające się na swoim ramieniu i zrozumiał, że chce mu powiedzieć bez słów, że nie wstydzi się swoich uczuć.

Wiedział jednak, że to nie może trwać wiecznie, że wszystko się zmieni, gdy zjedną z gór i wrócą do realnego świata. Ten starszy mężczyzna też o tym wiedział. Kaler nabrał tej pewności, kiedy ich spojrzenia spotkały się.

– Przepraszam, że przerwałem – powiedział Bradbury oziębłym tonem oznaczającym coś wręcz przeciwnego – ale czas na hot dogi, jeśli mamy zamiar zdążyć przed zmierzchem.

– A na deser mamy snickersy! – wykrzyknął Daniel.

– Dziadzius mi powiedział. Na specjalną okazję.

– I mleko, mam nadzieję – jęknęła Leigh.

– Tak, ale jest tylko w proszku. – Radość znikła z twarzy Daniela. – I skończyło nam się już kakao.

Kaler uwolnił się z uścisku palców Leigh, starając się zignorować rozentuzjasmowane spojrzenie Daniela.

– Muszę rozejrzeć się po okolicy, zanim się ściemni – oznajmił. – Zaraz wrócę.

– Pójdę z panem – zaproponował skwapliwie Daniel.

– Może zobaczymy Człowieka Śniegu.

– Nie tym razem, Dan – powiedział Kaler możliwie jak najłagodniej. – Zostań i pomóż mamie. Jesteś jej potrzebny bardziej niż mnie.

Odszedł, ale smutek w oczach chłopca prześladował go jeszcze przez dłuższą

chwile.

Po kolacji ambasador namówił Daniela na partyjkę warcabów w namiocie. Kaler i Leigh zostali przy ognisku. Chciał pomóc jej w zmywaniu, ale nie zgodziła się na to.

– Wypij spokojnie kawę, Kale. Zrobiłeś już więcej, niż do ciebie należało.

Teraz, gdy siedzieli tak na kamieniu obok ogniska, zauważył napięcie w jej twarzy i wyraźną zmarszczkę między brwiami. Wiedział, że martwi się o ojca. Ale nie potrafił skupić myśli na czym innym poza jej jedwabistą skórą pod bluzką. Znowu pragnął poczuć dotyk jej gorących warg. W końcu był przecież mężczyzną.

Nie spodziewał się jednak, że znowu zacznie mu się dawać we znaki dawne uczucie pustki. To nie był głód. Uczucie głodu znał jeszcze z dzieciństwa, kiedy tak często miał pusty żołądek. Nie był to też głód seksualny, w każdym razie nie w potocznym znaczeniu tego słowa. Wolałby już to pragnienie, bo umiałby się łatwiej z nim uporać.

Zirytowany na siebie, na nią, na sytuację, która zaczynała źle na niego działać, przełknął ostatni łyk kawy i przyglądał się w zamyśleniu fusom na dnie plastikowego kubka.

– Coś nie tak? – Leigh stanęła przed nim z termosem. – Właśnie chciałam ci zaproponować jeszcze jeden kubek, ale może masz już dosyć?

– Mam problem ze sobą, nie z kawą – powiedział podając jej kubek. Napełniła go i usiadła obok. W blasku ogniska jej twarz wydawała się aksamitna. Kusila Kalera, by pochwycić Leigh w ramiona.

– Chodzi mi o dzisiejsze popołudnie... Nie chciałbym zranić uczuć Daniela. Po prostu wydaje mi się, że nie powinien się do mnie za bardzo przyzwyczajać.

Duży głąz zasłaniał im namiot, ale Kaler mógł sobie wyobrazić chłopca z dziadkiem, pochylonych nad pionkami. Nie ulega wątpliwości, że ten staruch wymaga od syna Leigh takiej samej perfekcji, jakiej wymagał kiedyś od niej, pomyślał z goryczą, po czym zmitygował się – w końcu przyszłość Daniela to nie jego sprawa.

– Nie martw się, Kaler. Daniel szybko przystosowuje się do nowej sytuacji.

Obserwowała jego dłonie obejmujące kubek z kawą. Były silne i zdolne zarówno do największej czułości, jak i do zimnej przemocy.

– Dzieci na ogół to potrafią.

– Ty też taki byłeś?

– Oczywiście.

To wcale nie takie oczywiste, pomyślała. Wciąż jeszcze miał głębokie blizny z czasów, o których wiedziała, że były złe. Rzuciła okiem na jego profil, twardy, jakby wykuty z granitu.

– Podobasz się Danny'emu, bez względu na to, czy chcesz tego, czy nie – powiedziała stawiając termos na ziemi.

– Przypomina mi Andy'ego. Jest w nim ta sama ciekawość i... niewinność.

– Przeszkadza ci to?

– Tak – odrzekł po chwili wahania.

– Dlaczego?

– Co ma znaczyć to pytanie?

– Nic, po prostu chcę wiedzieć.

– Jedno z tych głupich pytań, jakie zadają panie magister?

– Daj spokój, Kaler. Ile razy rozmowa staje się zbyt osobista, zaczynasz się stawiać.

– Żebyś wiedziała, do cholery! – Wylał resztę kawy do ogniska i wrzucił kubek do wiadra z wodą.

Zanim Leigh zdążyła go powstrzymać, wstał i zniknął w ciemnościach. Ruszyła za nim, ale słyszała jedynie odgłos jego kroków.

– Au! – krzyknęła nagle czując, że włosy wplątują jej się w gałęzie. Próbowwała się wyswobodzić.

– Jak na elegancką kobietę, jesteś wyjątkowo nierozsądna. – Kaler zawrócił, by jej pomóc.

– Głupia i nierozsądna – burknęła pod nosem. – Nic dziwnego, że nie zgadzają mi się rachunki w księżeczce czekowej.

Kaler delikatnie wyplątał jej włosy z gałązek.

– No, jesteś wolna. A teraz zawracaj i marsz do ogniska. Bo przewrócę cię tutaj na ziemię i zacznę się z tobą kochać.

– Chciałabym, żebyś to zrobił. Od czasu, kiedy cię zobaczyłam i zakochałam się w tobie, ciągle tego pragnę.

– To było dawno temu.

– Rzeczywiście, całe czterdzieści osiem godzin, no, może kilka minut mniej lub więcej.

– Nonsens. Zakochałaś się w jakimś w miarę przystojnym facecie, który pomógł odnaleźć ci ojca i dziecko. Lekarzom i policjantom często się to przytrafia.

– A co to dla ciebie za różnica czy ja coś czuję, czy nie?

– Żadna – przyznał, ale jego dłonie zagłębiły się już w gęstwinie jej włosów.



Kaler obiecywał sobie, że już jej nie dotknie. Zapomniał jednak, że ta kobieta, którą pieszczotliwie nazywał Hank, byłaby w stanie nawet świętego przywieść na pokuszenie i sprawić, że zapomniałby o wszystkich swoich zasadach i postanowieniach.

Postanowienia. Do diabła, nie wtedy, gdy jej ramiona oplatają jego kark, a piersi przywierają do jego klatki piersiowej. To już będzie ostatni raz, powiedział sobie. Pocałował ją w usta, smakując znany sobie zapach. Przesunął wargi ku jej szyi.

Po dwóch ostatnich nocach wiedział, że Leigh nadal lubi długie, omdlewające pocałunki, aż do utraty tchu.

Delikatnie drapała go w głowę, całowała koniuszki uszu. Uprzytomnił sobie, że i ona wie, jak sprawić mu przyjemność.

Dotknął dłonią jej piersi. Chociaż miała na sobie tak cienką bluzkę, że wyczuwał każdą najmniejszą nawet wypukłość ciała Leigh, przeszkadzał mu nawet ten cienki materiał. Chciał czuć jej skórę.

Wziął ją w ramiona i zaniósł na zacienioną kępę trawy. Nikt nie zdołałby ich tutaj dojrzeć. Postawił ostrożnie na ziemi.

– Trzymaj mnie – wyszeptała. – Jakoś tak... dziwnie słabo się czuję.

– Moja mała, słodka Hank – westchnął. – Chyba nie potrafię przestać cię pragnąć. – Patrzył na nią z takim przejęciem, jak gdyby czekał na odpowiedź na jakieś bardzo ważne pytanie.

– Wygląda na to, że ja też nie – odparła.

Ręce jej drżały, gdy usiłowała rozpiąć mu guziki u koszuli, gdy ściągała ją z niego. Drżały jeszcze bardziej, gdy rozpiniała pasek u spodni i górny guzik dzinsów.

– Teraz moja kolej – wyszeptał między pocałunkami.

Gdy kładł ją na chłodnej, wilgotnej trawie, wiła się z podniecenia pod jego dotykiem.

– Pomału, kochanie, pomału – uspokajał ją łagodnie.

Przesuwał dłonie wzdłuż jej obnażonych piersi, brzucha, bioder. Jej jęki podniecały go znacznie więcej niż najbardziej ekscytujące słowa, sprawiały, że przestawał już panować nad sobą. Próbował myśleć o czymś innym – o pumie, sadach owocowych, zamieci śnieżnej. Ale naprawdę pragnął tylko Leigh, jej dotyku, zapachu, słodyczy, jej cudownego śmiechu.

Walczył ze sobą, za wszelką cenę starając się opanować. Ale tak bardzo jej potrzebował. Nie tylko fizycznie. Pragnął jej uśmiechu, spojrzeń. Jej zaufania.

Leigh wydawało się, że nie zniesie dłużej dotyku dłoni Kalera na swoich nagich biodrach. Nerwowo rozpinęła zamek błyskawiczny u jego dzinsów, by wreszcie dotknąć jego ciała. Było gorące, nabrzmięte, twarde.

Pociągnęła go ku sobie i objęła mocno jego kark. Całowała w usta, przytulała się do niego z całej siły. Nie bronił się dłużej.

Poruszała się coraz szybciej i szybciej, wstrząsał nią dreszcz. Odetchnęła głęboko. Wciąż jeszcze lekko drżała. Uspokajał ją, delikatnie głaszcząc po włosach. Szeptał słowa tak czułe, jakich nie mówił jeszcze nigdy żadnej kobiecie.

Leigh powtarzała imię Kalera, czując w sobie jego miarowe ruchy, aż do momentu gdy zespolili się ze sobą całkowicie. Krzyknął, opadł na trawę i oddychał głęboko.

– Robi się późno, a my nie mamy koca – opamiętał się po chwili. Przysięgł sobie, że to było po raz ostatni, choćby go to nie wiem ile miało kosztować. – Lepiej wracajmy, zanim przyjdzie po mnie ambasador z moim własnym karabinem – dodał.

– Mam już trzydzieści siedem lat i nie trzeba mnie pilnować – odparła całując go w ramię.

– Ale on wciąż uważa mnie za coś nikczemniejszego od karalucha.

– Musisz przyznać, że nie bardzo się starałeś, żeby zmienić zdanie.

– Wierz mi, kochanie, to niemożliwe.

– A więc będę musiała znosić was takich, jacy jesteście.

– Jeszcze tylko trzy dni – odpowiedział.

– Czy to znaczy, że nie oczekujesz ode mnie niczego więcej? – zapytała ostrożnie.

– Zawsze byłaś bystra – zauważył, przyciskając usta do jej warg. – Oboje wiemy, że tylko tracisz czas starając się znaleźć motywację swojego uczucia dla niewiele wartego ekspliny bez przyszłości. – Podał jej ubranie i wstał.

– Zapomniałeś dodać, że kiedyś będę ci dziękować za te słowa – odrzekła wciągając bluzkę.

– Będiesz – zapewnił, wmawiając sobie, że głos jej tłumiał materiał, a nie łyzy.

– Nie musisz mi mówić, co będę, a czego nie będę robić – powiedziała cierpko. – Bez ciebie i bez ojca sama najlepiej wiem, co czuję, a czego nie.

– A więc już teraz chciałbym cię prosić, żebyś za mnie wyszła. – Kaler chwycił ją za rękę. – Bardziej niż czegokolwiek w świecie pragnę co wieczór kłaść się obok ciebie do łóżka i budzić się rano trzymając cię w ramionach. I chcę opiekować się tobą i twoim synem. Ale nie mogę.

– Dlaczego? – W głosie Leigh słychać było zaskoczenie.

– Kiedy zejdziemy z gór, ty wrócisz do swego dawnego życia, kariery, ludzi, którzy na ciebie liczą, – doskonałej reputacji, syna, z którego chcesz być dumna. Zasłużyłaś na to. Najlepsze, co mogę zrobić dla ciebie i Daniela, to trzymać się od was z daleka.

– Czy ty nic nie zrozumiałaś? Kocham cię. Nigdy nikogo...

Przerwał jej, zanim zdołała wypowiedzieć słowa, których mogłaby żałować. Przerwał jej długim, namiętym pocałunkiem.

– Doprowadzę was bezpiecznie do stacji rezerwatu, a potem pożegnamy się, tak jak żegnają się dwaj starzy przyjaciele, którzy mieszkają i zawsze będą mieszkać w różnych światach.

W milczeniu wrócili na biwak. Leigh nie miała pojęcia, co powiedzieć, a Kaler wiedział, że nie ma już nic do powiedzenia.

## Rozdział 10

Kaler dorzucił trochę chrustu do żarzącego się jeszcze ogniska. Płomienie strzeliły w górę.

Tylko on już był na nogach, nie licząc rodziny jeleni, która mignęła w oddali. Ranek był mglisty, trawa wilgotna i śliska. Wyprostował się, wciągnął głęboko powietrze. Pachniało jesienią.

Już niebawem drzewa pożółkną, a rosa zmieni się w lód, pomyślał. Jeszcze tylko miesiąc, albo i mniej, na tej wysokości. A później przyjdzie zima i uwięzi go na dole sam na sam z jego myślami.

Wiedział, że będzie myślał o Leigh i o tych paru dniach spędzonych razem w miejscach, które kochał. Ilekroć wybierze się w góry, zawsze będzie miał przed oczami jej uśmiech. Nieważne, jak długo będzie wędrował i jak ciężko pracował, jego myśli będą krążyć wokół niej – jej uśmiechu, jej rąk, jej ciała.

– Jaki to typ karabinu? – Głos Daniela wyrwał go z zadumy.

Chłopiec stał w odległości kilku kroków, ubrany w ciemnoniebieski dres i pionierki. Oczy mu błyszczały. Ten chłopak tak bardzo pragnął, żeby go akceptowano, żeby go lubiano – jak Kaler, kiedy był w jego wieku. I tak samo jak on potrzebował ojca, by dodał mu pewności i odwagi, kiedy będzie poznawał życie. Ale nie potrzebował akurat Kalera.

– To winchester 94 – odpowiedział Kaler.

– Ho, ho! To brzmi groźnie! – wykrzyknął chłopiec, a oczy zajaśniały mu z podniecenia.

– Nie tak bardzo. Myślę nawet, że pan Winchester chciał z niego bardziej straszyć niż strzelać.

– Ja też mam karabin – pochwalił się Daniel – i jest dużo większy niż pana. Wisi na ścianie w mamy pokoju.

– Na ścianie? – Kaler zamienił się w słuch.

– Tak. Obok takiego śmiesznego kawałka papieru, który dał nam dziadzius. Mówi, że to drzewo genealogiczne...

Kaler pomyślał o swojej rodzinie. Była za biedna, by zajmować się takimi rzeczami. Ważne było tylko, żeby przeżyć.

– A to co? – Daniel podszedł bliżej i sięgnął po niewielką plastikową torebkę, którą Kaler właśnie wyjął z plecaka.

– Szmotka do czyszczenia. Czujesz, jaka miękka? Używam jej do wszystkich

metalowych elementów.

– Po co?

– Żeby nie zardzewiały.

Daniel ostrożnie dotykał giemzy. Zupełnie tak samo jak on, kiedy był mały. Przez długi czas myślał, że tylko dotykiem może sprawdzić, czy coś naprawdę istnieje. Do diabła, może nadal tak myśli?

– Czy rdza to coś złego? – spytał Daniel.

– Oczywiście, zwłaszcza gdyby lufa eksplodowała prosto w moją twarz.

Daniel usiadł na trawie. Ktoś obcy wziąłby ich z pewnością za ojca i syna. Kaler szybko odsunął tę myśl od siebie. Daniel nie był jego synem. I nigdy nie będzie.

– Mama mówi, że pozwoli mi wziąć mój karabin do ręki dopiero wtedy, kiedy będę miał dwadzieścia jeden lat.

– Ten ze ściany?

– Tak. Mówi, że to antyk. To znaczy, że jest wart bardzo dużo pieniędzy.

– Na pewno.

– Panie Kaler? – zaczął znowu chłopiec.

– Słucham cię, Dan. – Kaler zastanawiał się, jakby się czuł, gdyby Daniel mówił do niego „tato”. Prawdopodobnie cholernie dobrze.

– Czy to jelenie, tam za drzewem?

– Tak. Na ogół pożywiają się wczesnym rankiem albo o zmierzchu.

– Nie wiedzą, że tu jesteśmy?

– Oczywiście, że wiedzą. Popatrz na tego, który stoi nieco z boku. Widzisz? Z takim dużym porożem.

– Porożem?

– Rogami.

– To ich szef? – zapytał Daniel.

Zmyślny chłopak, zmyślniejszy niż ja byłem w jego wieku, przemknęło Kalerowi przez głowę.

– Tak, myślę, że można to tak określić. Widzisz, jak węszy i wyciąga szyję? Obserwuje nas. Jeśli zauważy jakieś niebezpieczeństwo, da sygnał innym i uciekną w bezpieczne miejsce.

– Zabił pan kiedyś jelenia?

– Tak, dawno temu.

– Mógłby pan to znów zrobić?

– Mógłbym, ale nie zrobię. Polowałem tylko po to, żeby zdobyć mięso dla

rodziny. Teraz mogę sobie pozwolić na kupowanie w sklepie.

– Ale mógłby pan powiesić te rogi na ścianie – ciągnął chłopiec po chwili namysłu. – Tak jak w tym sklepie w dolinie, gdzie dziadziś kupował jedzenie na drogę.

– A czy nie lepiej, żeby ten piękny jeleni pilnował swojej żony i dzieci? – zapytał Kaler, patrząc chłopcu w oczy. Miały taki sam kształt jak oczy Leigh i takie same długie rzęsy. Tylko kolor był inny.

– Chyba ma pan rację – zgodził się Daniel.

– A może mógłby mi pan pokazać, jak używać strzelby?

– Wieczorem. Jeśli mama się zgodzi.

– A pan ma w domu żonę i dzieci, panie Kaler?

– Nie, mieszkam sam.

– Dlaczego nie ma pan dzieci?

– Jakoś nie miałem szczęścia. – Kaler wstał gwałtownie, jeleni skoczył w bok, za nim cała jego rodzina. Wiem, co czujesz, pomyślał Kaler. Gdybym miał rodzinę, też nie pozwoliłbym nikomu wyrządzić jej krzywdy.

Leigh oparła się o głaz i wyciągnęła nogi. Bolały ją łydki. Zbliżało się południe i po dwóch godzinach marszu Kaler zarządził odpoczynek ze względu na Daniela. Ale to ojciec Leigh najbardziej potrzebował odpoczynku: twarz jego była jeszcze bardziej czerwona niż Daniela, a oddech głośniejszy i nierówny.

– Myślałem, że Daniel będzie rozczarowany, że zrezygnowaliśmy z poszukiwań yeti, ale widzę, że twój pan Kaler potrafił skierować jego uwagę na inne rzeczy – zwrócił się do Leigh.

– On nie jest „mój”, ojcie. Nigdy nie był. – Z trudem opanowała drżenie głosu. Ojciec odwrócił się gwałtownie, przesywając ją badawczym spojrzeniem niebieskich oczu.

– A chcesz, żeby był, prawda?

– Nie ma znaczenia, czego chcę. Kaler uważa, że nie jest dla mnie dostatecznie dobry.

– Zupełnie się z tym zgadzam. Jest akurat takim mężczyzną, przed jakim broniliby się ojciec każdej córki – nieokrzęsany, niepohamowany, za bardzo ryzykancki i nieobliczalny. W dodatku mocno cię kiedyś zranił. Nie chcę, żeby to się powtórzyło.

Leigh popatrzyła na lśniący w słońcu brylant w pierścionku od Edwarda. Kiedyś podaruje go Danielowi dla jego żony.

– Uważa, że nie akceptujesz go ze względu na jego przeszłość.

– Być może, ale tylko dlatego, że wiem, jak potrafisz onieśmielać mężczyzn, którzy nie dorównują ci pochodzeniem i wykształceniem. Bałem się, że pan Kaler koniec końców cię zastrzeli.

– Ojczy!

– Przepraszam, kochanie, ale zawsze byłaś niesforna, zwłaszcza gdy po śmieci matki zostałem z tobą sam.

Bradbury sięgnął do plecaka po butelkę z wodą. Podał najpierw Leigh, ale odmówiła.

– Mógł zachować tę posadę w urzędzie celnym.

Wiedziałaś o tym? – spytał po chwili.

Otworzyła ze zdumienia usta i powoli potrząsnęła głową.

– Co ty... Ach, oczywiście, przecież należycie z dyrektorem Carltonem do tego samego klubu golfowego.

– Tego pana Kalera uważano za zbyt cenny nabytek, by go tracić, więc zaproponowano mu układ. Miał przysiąc, że tylko bluffował mówiąc Mendozie, że – naśle na niego jego kumpli, jeśli nie zacznie mówić. Wtedy zatrzymałby swoje stanowisko.

– Ale... ale on mi mówił, że to nie był bluff, że on nigdy nie bluffuje.

– Dokładnie to samo oświadczył Carltonowi.

Leigh przesunęła wzrok na Kalera. Siedział odwrócony do niej tyłem. Trzymał coś w ręce, może jakiegoś żuczka, a Daniel dotykał go delikatnie, oparty całym ciałem o jego kolano. Ich włosy wydawały się niemal identyczne w promieniach wczesnopopołudniowego słońca.

– Ojczy, pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałeś? Że nigdy, w żadnych okolicznościach, cel nie może uświęcać środków, jeżeli te środki uchybiają zasadom honoru.

– Pamiętam. Nadal tak uważam. I teraz sędzę, że tak właśnie postępuje Kaler. – Bradbury schował butelkę do plecaka i wytarł ręce.

– Jeśli jest to mężczyzna, którego pragniesz – dodał – staraj się o niego tak, jak starałaś się o wszystko w swoim życiu.

– Próbowałam, ojczy – odparła. – Ale nie udało się.

Daniel macał ziemię palcami. Kaler przyklęknął obok. Czekał na pytania, jakie za chwilę mu zada. Stało się to już regułą, że Daniel pytał, a on odpowiadał.

– Ale skąd pan wie, że to są ślady jelenia? – odezwał się w końcu chłopiec.

Taki mały, a taki niedowiarek, pomyślał Kaler.

– Jelenie, łosie, a nawet kozice stawiają nogi w tak charakterystyczny sposób, że nietrudno rozpoznać ich tropy. Widzisz ten spiczasty ślad tutaj, jakby – wycięty w ziemi? – Kaler tłumaczył wszystko chłopcu z taką cierpliwością, o jaką nigdy by siebie nie posądzał. – To ślad racicy jelenia. Wygląda tak, jakby chodził na paznokciach, tyle że ich nie ma.

Kaler rozglądał się dokoła, aż wreszcie dostrzegł w trawie delikatne wgłębienie.

– Chodź tutaj, pokażę ci coś innego – zawołał.

– Co? – niecierpliwie zapytał chłopiec. Zamiast odpowiedzi Kaler podprowadził go do miejsca, które zwróciło jego uwagę.

– Widzisz? Tutaj trawa jest spłaszczona w kształcie koła.

– Uhm.

– Kiedy śpisz w namiocie, czujesz się bezpiecznie, prawda?

Daniel skinął głową.

– Widzisz, wiele dziko żyjących zwierząt śpi na wzgórzu plecami do wiatru, aby mogły widzieć to, czego nie czują, i czuć to, czego nie mogą zobaczyć. Dzięki temu są bezpieczne. Jelenie tak właśnie robią.

– Czy pan wie wszystko o dzikich zwierzętach i o ich śladach? – Daniel popatrzył na Kalera z podziwem.

– Nie, nie wszystko. Ale znam się na wielu sprawach, bo tutaj wyrastałem, tak jak ty prawdopodobnie wiesz całą masę rzeczy o twoich okolicach w Phoenix.

– Bardzo dużo. – Twarz chłopca rozjaśniła się. – Wiem nawet, co trzeba robić, jeśli nagle zobaczy się grzechotnika.

– A co się robi, gdy spotka się na drodze grzechotnika? – spytał Kaler, starając się za wszelką cenę zachować powagę.

– Najpierw zamierasz bez ruchu – wyjaśnił Daniel – a potem, jeśli grzechotnik jest spokojny, zaczynasz się pomalutku cofać, krok za krokiem. A kiedy już jesteś dostatecznie daleko, odwracasz się i pędzisz do domu ile sił w nogach.

– Zapamiętam to, na wypadek, gdybym kiedyś natknął się na grzechotnika – uśmiechnął się Kaler.

Daniel wyglądał na zadowolonego z siebie. Przyklęknął i wpatrywał się w trawę. Kaler patrzył w kierunku zbliżającej się do nich Leigh.

– Macie jakieś ślady yeti? – zawołała.

– Nie, ale pan Kaler wie wszystko o zwierzętach i ich tropach – odpowiedział jej zachwycony chłopiec.

– Założę się, że wkrótce go odnajdziemy.



– Mam nadzieję, synku. – Leigh wręczyła mu batonik "Mars".

– Dziadek zawsze ma dla mnie snickersy – oświadczył Daniel.

– A mama częściej marssem. To już reguła. – Spojrzała na Kalera. – Żadnych śladów Maksa?

– Nie – odparł podnosząc się z ziemi.

Leigh idąc ku nim miała w oczach jakąś nieuchwytną tęsknotę. Teraz nagle z jej oczu znikło wszelkie zainteresowanie, stały się puste, bez wyrazu.

– Mama miała dzisiaj zły sen – wyznał Daniel.

Leigh rzuciła synowi pełne wyrzutu spojrzenie, ale było już za późno.

– Jaki sen? – zapytał Kaler.

– Któż by pamiętał sny. – Wzruszyła ramionami. Kaler pamiętał. Te, w których pojawiała się ona.

Ileż to razy wołałby o nich zapomnieć.

– Płakała – wyjaśnił Daniel pogryzając czekoladkę.

Rzeczywiście miała podkrążone oczy, a wokół ust cienkie zmarszczki. Poczł gdzieś w środku głucho uderzenie.

– Nigdy nie chciałem cię zranić, Hank – powiedział.

– Wiem. Po prostu stałam się sentymentalna. Nic takiego...

Przerwał jej głośny trzask, jeden, za moment drugi.

– To strzały! – krzyknęła.

– Cholernie blisko! Z remingtona.

– Guntar? – spytała. Usłyszeli trzy kolejne strzały.

– Z całą pewnością. – Kaler rozejrzał się wkoło, wskazał na Daniela. – Nie ruszaj się stąd – powiedział do Leigh. – I, na Boga, pilnuj chłopca.

– Zaczekaj! Pójdę z tobą! – zawołała. Ale Kalera już nie było.

– Mamo! Chcę iść z panem Kalerem! – wrzeszczał Daniel, usiłując się wyrwać.

– Co się dzieje? Słyszałem strzały! – Zaniepokojony ambasador wybiegł z namiotu.

– Później ci powiem! – zawołała Leigh. Chwyciła Daniela za ramiona, spojrzała mu w oczy.

– Danielu, musisz tu zostać i pilnować, żeby dziadkowi nic się nie stało, rozumiesz?

– Ale pan Kaler może mnie potrzebować.

– Bardziej potrzebuje ciebie teraz dziadek. – Spojrzała porozumiewawczo na ojca.

– Posłuchaj mamy, Danielu. Twój stary dziadek potrzebuje opieki – powiedział

ambasador. Chłopiec wyglądał na zrezygnowanego.

– Zaraz wrócę – obiecała Leigh i pobiegła za Kalerem. Zniknął już z pola widzenia, ale ślady jego butów były dobrze widoczne na miękkim gruncie.

Wydawało się, że upłynęły godziny, ale minęło zaledwie pięć minut, a już była przy nim. Kiedy zawołała, odwrócił się. Miał nieruchomą twarz, kamienne spojrzenie.

– Co się... ? – zaczęła i nie skończyła. Zobaczyła po prawej strone krwawe cielsko. Pod rozciętą szyją pumy, największej, jaką kiedykolwiek w życiu widziała, utworzyła się ogromna kałuża krwi.

Był to imponujący okaz samca o cudownie ubarwionej sierści i wspaniałej sylwetce. Ale lewa tylna łapa była rzeczywiście zdeformowana i pokryta bliznami.

– O mój Boże! – krzyknęła Leigh. – Biedne zwierzę. – Poczowała mdłości, zagryzła mocniej dolną wargę. Kaler obserwował ją w milczeniu.

– To Guntar? – spytała.

– Tak, jeden strzał w serce zgodnie z przyrzeczeniem. Nie przyszło mi do głowy powiedzieć mu, żeby nie zabierał łba.

– Nie możesz być odpowiedzialny za wszystkich i wszystko. Nie twoja wina, że okazałeś mi zaufanie większe niż na to zasługuje.

Kaler nadal rozglądał się po okolicy. Zatrzymał wzrok na niewielkim skupisku głazów w pobliżu lasu.

– Widzisz coś? – spytała szeptem.

– Słyszysz? To brzmi jak skomlenie – odpowiedział.

Leigh wstrzymała oddech, ale słyszała tylko szum wiatru. Rozczarowana potrząsnęła głową.

– Nie. – I nagle usłyszała jakby ciche kwilenie dochodzące spośród głazów.

Kaler odciągnął kurek karabinu.

– Zostań tutaj. I tym razem naprawdę zostań na miejscu.

– Uważaj – szepnęła, próbując się uśmiechnąć.

– Oczywiście.

Kaler oddalił się w kierunku głazów. Leigh rozglądała się wokół, wyczulona na ewentualne niebezpieczeństwo.

Nie upłynęły nawet dwie minuty, gdy Kaler dał jej znak, żeby podeszła.

– Co to jest? – spytała szeptem, gdy znalazła się obok niego.

Zamiast odpowiedzi wskazał wzrokiem rozpadlinę między głazami. Leżało w niej najcudowniejsze kocię, jakie Leigh kiedykolwiek w życiu widziała. Kłębuszek złotego, błyszczącego futerka z czterema nieproporcjonalnie dużymi puszystymi

łapami.

– Jakie śliczne maleństwo – przemówiła czule, pochylając się nad kotem.

Miauknął i podniósł się niezdarnie. Wyprężył grzbiet i ochoczo podbiegł do Leigh. Pochyliła się ku niemu, ale Kaler ją zatrzymał.

– Przecież ono jest takie samotne – obruszyła się z żalem, że nie może wziąć na ręce puszystego maleństwa.

– Jeśli na legowisku albo na sierści pozostanie twój zapach, samica może nie wrócić.

– Masz rację, nie pomyślałam o tym – przyznała i oddaliła się o parę kroków. Kocię zamiauczało rozpaczliwie. – Jak myślisz, dokąd poszła jego matka? – zapytała, nie mogąc znieść skomlenia malutkiej pumy.

– Nie wiem. Może na polowanie, choć to mało prawdopodobne. Ten kociak jeszcze na pewno ssie matkę. Słyszałem pięć strzałów. Może Guntar ją dopadł.

– Jeśli tak, to musi tu gdzieś leżeć.

Kaler wręczył jej karabin.

– Weź, bo jeżeli samica tu wróci, może rzucić się na ciebie. Maks nie miał czasu, by odejść zbyt daleko.

Rozejrzę się w pobliżu. – Kaler obszedł legowisko pumy i skierował się na północ, cały czas ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Kilka razy przykucnął, dotykał śladów, badał je.

Maleńka puma stanęła na tylnych łapkach i za wszelką cenę starała się wspiąć na głaz, na którym stała Leigh.

– Wiem, maleństwo, wiem. Boisz się, jesteś głodne i opuszczone, i bardzo chciałabym ci pomóc – przemawiała do kociaka.

Miauczał żałośnie i wciąż na nowo usiłował wspiąć się na kamień.

– Nie poddajesz się, co? – roześmiała się Leigh.

– Na pewno dobrze byście się bawili z Dannym.

Usłyszawszy jakiś ruch z lewej strony, podniosła szybko karabin i położyła palec na spuście. Ale był to Kaler, sam, z zagniewanym wyrazem twarzy.

– No i co? – zapytała niecierpliwie.

– Mamy problem.

– Guntar?

– Tak – skinął głową. – I drugi ślad, pumy.

– Matki małego?

– To nie wszystko. Na ile zdołałem się zorientować, została trafiona i krwawi. Ślepy by ją wytropił, a co dopiero Maks.

– Wróci tutaj? – zapytała Leigh z niepokojem.

– Wręcz przeciwnie. Instynkt każe jej odwieść wroga od jej dziecka tak daleko, jak to tylko możliwe. Dopiero potem stanie do walki. Wiatr nie ma znaczenia. Maks może z tego swojego remingtona podziurawić ją jak sito z odległości dwustu metrów.

– Nie możesz go powstrzymać?

– Najpierw musiałbym go znaleźć. Nawet jeśli mi się to uda, samica prawdopodobnie i tak zginie.

– Ależ musisz próbować! Zostanę tutaj z małym.

– Leigh była absolutnie zdecydowana.

– A co z twoim ojcem? Co będzie, jeśli tętniak pęknie, gdy ty będziesz się bawić w niańkę pumy?

– No to musimy wziąć Simbę ze sobą – stwierdziła.

– Simbę? – Popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Imię jest bardzo ważne. Może mieć wpływ na charakter dziecka.

Wręczyła Kalerowi karabin, zeskoczyła z głazu i wzięła maleństwo na rękę. Zwinęło się w kłębuszek, zapiszczało i zaczęło lizać twarz Leigh szorstkim, wilgotnym języczkiem.

– Czyż nie jest słodkie? Przypomina mi kotkę, którą kiedyś miałam – zachwycała się Leigh.

– Poczekaj parę miesięcy, a będzie większa od ciebie.

Leigh zaśmiała się, odchylając w tył głowę, żeby obronić się przed zalizaniem na śmierć. Bluzkę miała już w paru miejscach porozrywaną ostrymi pazurkami pumy, szorty brudne od jej łapek. Wytworna dama zniknęła gdzieś między restauracją Belle a tym leśnym zakątkiem. Kaler nie był zachwycony takim obrotem spraw. Będzie mu jeszcze trudniej się z nią rozstać.

– Chodź, ty kocia mamó – ujął Leigh za łokieć.

– Musimy znaleźć coś do jedzenia dla Simby, zanim dobierze się do twoich uszu.

## Rozdział 11

– W porządku, mały. Zobaczymy, jak sobie radzisz w roli niańki. – Kaler zaczekał, aż Leigh ułoży kociaka na kolanach Daniela. Zwierzątko przez cały czas miauczało – było wyraźnie głodne. Kaler zrobił niewielki otwór w rogu plastikowej torebki napętnionej rozcieńczonym mlekiem w proszku i podał ją chłopcu. Mała puma wzbraniała się, potrząsała głową, opryskując mlekiem Daniela.

– Chyba mu nie smakuje – stwierdził chłopiec.

– Co robić? Nic innego nie mamy – zaniepokoiła się Leigh.

– Dajmy mu trochę czasu. Jeszcze nie wie, co dla niego dobre – uspokoił ją Kaler.

Daniel uzbroidł się w cierpliwość. Już po chwili mała puma ssła z zapamiętaniem róg torebki. Kaler tymczasem wszedł na niewielkie wzniesienie i rozejrzał się po okolicy. Od chwili kiedy znaleźli legowisko pumy, był wyraźnie zdenerwowany.

– Coś mi mówi, że robiłeś to już przedtem – powiedziała Leigh stając obok niego.

– Co?

– Ratowałeś osieroczone stworzenia.

– Raz, może dwa, kiedy byłem dzieckiem. – Kaler wzruszył ramionami. – Ale nigdy nie używałem do tego plastikowych torebek. W domu były zawsze jakieś butelki do karmienia niemowląt.

– Wydaje mi się, że przewijając też potrafisz. Oczywiście dzieci – powiedziała Leigh głosem, w którym pobrzmiwał smutek.

– Nie jest mi to obce. A dlaczego pytasz?

– Bo założyłam się sama ze sobą. I przegrałam.

Zmarszczył brwi i spojrzał tak, jak gdyby chciał wziąć ją w ramiona i pocałować. Ale nie byli sami. Widziała jakiś cień w jego oczach i miała niejasne przeczucie, że Kaler zastanawia się już nad mową pożegnalną.

– Co zrobisz z tym kociakiem? – spytała.

– Oddam je pewnej kobiecie, która pracuje w zespole ochrony dzikich zwierząt. Będą go tam trzymać, aż dorośnie, a potem nauczą polować.

– Czy to się udaje?

– Nie zawsze, ale lepsze to niż rozpieszczanie i zrobienie z dzikiego zwierzęcia zupełnego niedołągi.

Uśmiechnęła się, ale w sercu poczuła nagle jakiś ciężar.

– Myślę, że Danny ma już jakieś plany co do Simby. – Plany, przy których nie obejdzie się bez ciebie, dodała w duchu.

– A ja myślę, że nie on jeden zastanawia się nad tym, co będzie z Simbą. – Kaler obejrzał się i popatrzył na chłopca pochylonego nad pumą.

– Ona jest taka śliczna – rozpromieniła się Leigh.

– Ale nie zapominaj, że jest dzikim zwierzęciem.

– Wiem. – Leigh w zakłopotaniu skubała gałązkę sosny. Nigdy przedtem nie miała problemów z wysławianiem się, zwłaszcza wtedy, gdy mówiła Kalerowi, co myśli o nim. Była absolutnie pewna, że zna wszelkie możliwe odpowiedzi. Wiedziała, co czarne, a co białe, co dobre, a co złe. Wszystko miała w głowie poukładane, nie dręczyły jej żadne wątpliwości. Ale dziś było inaczej.

– Tyle bym ci chciała powiedzieć, a nie wiem jak.

– Uśmiechnęła się, ale oczy pozostały nieruchome.

Kaler znał to spojrzenie. Raz lub dwa miał w oczach ten sam wyraz beznadziejności i żalu.

Włożył ręce do kieszeni. W ten sposób przynajmniej nie może jej dotknąć.

– Chciałbym być na miejscu Simby, Leigh. Tak się o niego martwisz. Wcale nie byłoby mi spieszno do wolności.

Leigh skinęła głową, z coraz większym trudem wydobywała z siebie głos. Czy byłoby jej łatwiej, gdyby powiedział, że ją kocha?

– Danny'emu bardzo się tutaj podoba, mnie zresztą również. Możemy cię odwiedzać od czasu do czasu.

– Po co? Żeby znów się żegnać?

– Wygląda to, jakbyśmy nie mogli uzgodnić warunków – uśmiechnęła się z przymusem.

Obserwowała jego twarz. W blasku słońca wyraźnie widziała każdą zmarszczkę. Miał ich wiele, ale wciąż jeszcze był przystojnym mężczyzną. I ten mężczyzna martwił się, że dzikie stworzenie mogło umrzeć.

– Co do Dana – powoli cedził słowa – chciałbym od czasu do czasu usłyszeć, co się z nim dzieje. O ile nie masz, oczywiście, nic przeciwko temu.

– Och, Kaler, chciałabym... – Głos odmówił jej posłuszeństwa. Poczuła, jakby coś w niej pękło.

– Wiem, ja też. – Otarł kciukiem kurz z jej brody, zadrzała.

Pochylił się i pocałował ją. Usta miała gorące i spragnione. Gdyby tylko powiedział, że ją kocha, zrobiłaby wszystko, żeby zmienił swoje plany, ale on

milczał.

– Pojedziesz z nami do szpitala w Seattle? – zapytała po chwili.

– Nie. Ktoś musi się zająć Simbą.

Czuła, że ogarniają smutek i żal. Przyciągnęła jego głowę ku sobie. Rozchyliła usta i zaczęła całować go z coraz większą rozpaczą i zapamiętaniem.

Odpowiedział taką samą namiętnością. Jego pocałunki były tak gorące i niepohamowane, jak tylko mogą być pocałunki samotnego mężczyzny.

Całował jej szyję, płatki uszu, kark, koniuszki włosów. Rękami dotykał jej ciała – piersi, talii, bioder, wyobrażając ją sobie taką, jaką widział rano, z włosami rozświetlonymi słońcem, z ustami spragnionymi jego ust.

– Dziś w nocy – szepnęła – gdy ojciec i Daniel zasną.

Tak! pomyślał Kaler, a krew zaczęła mocniej pulsować mu w żyłach.

– Nie – odrzekł jednak. Teraz to już koniec. Nie będzie wzajemnych pretensji. Nie będzie żalu.

Leigh oprzytomniała nagle. Potrafi przecież zapanować nad emocjami. Przyjąć niepowodzenie z godnością, zaprezentować klasę. Mama byłaby ze mnie dumna, pomyślała poprawiając bluzkę i włosy.

– A zatem, skoro już wszystko sobie wyjaśniliśmy, pozwól, że ci podziękuję – powiedziała pogodnie.

– Byłeś dobrym przyjacielem dla mnie i dla ojca.

– Łzy cisnęły się jej do oczu, ale zachowała zimną krew. – I wspaniałym wzorem do naśladowania dla Danny'ego.

Odwróciła się w kierunku lasu, a w piersi wzbierał jej szloch.

– Nie, Simba, trop prowadzi tędy – tłumaczył Daniel, wlokąc pumę za linkę umocowaną do czerwonej chustki obwiązanej wokół jej szyi. Puma przeraźliwie zapiszczała, ciągnąc w kierunku skupiska głązów.

– Nie, Simba – powtórzył chłopiec. – Tam nic nie ma.

– Może jest głodna – powiedziała Leigh.

– Jeszcze nie – odpowiedział ojciec. Był blady, ale dzielnie znosił trudy długiego marszu.

– Ależ tato, przecież to jeszcze dziecko. – Spojrzała w kierunku Kalera. Szedł przed siebie miarowym krokiem. Czując na sobie jej wzrok, odwrócił się.

– Jakież problemy?

– Simba trochę się nam buntuje.

Daniel pociągnął linkę, ale zwierzak był silniejszy. Linka zerwała się.

– Simba! – krzyknął chłopiec i rzucił się za pumą.

– Danny! Stój! – zawołał Kaler. Skoczył naprzód, by powstrzymać chłopca.

Leigh zauważyła ranną samicę na sekundę przedtem, zanim puma wyskoczyła z za skały, by zaatakować Danny'ego. Krzyknęła przeraźliwie.

Działając w pierwszym odruchu Kaler rzucił się do przodu, zatrzymał w powietrzu atakujące zwierzę i upadł na ziemię przygnieciony jej ciężarem. Pchnął przy tym Danny'ego, który padając uderzył głową w granitowy głaz.

Usłyszał przenikliwy krzyk Leigh, poczuł, że pękają mu żebra, gdy zwierzę szarpało się, by ponowić atak. Wytrzymał jednak, napinając z wysiłku ramiona.

– Karabin! – zdołał zawołać, w momencie gdy ambasador właśnie składał się do strzału. Ale pumę ogarnęła furia. Atakując zaciekle, rozorała mu pazurami pierś od ramienia aż po brzuch.

Skręcił się z bólu i w tej samej sekundzie zobaczył Leigh zasłaniającą swym ciałem syna. Jeśli puma skończy z nim, następna będzie Leigh, a po niej Danny.

Nadludzkim wysiłkiem zdołał przekręcić się na bok, pociągając za sobą rozszalałego kota.

– Strzelaj! – wrzasnął, ale ambasador wahał się, na próżno starając się wycelować w miotającą się samicę.

Kaler opadał z sił. Puma niemal wyzwoliła się z jego uścisku. Kurczowo trzymał ją jeszcze za futro, starając się ukryć twarz. I wtedy rozległ się strzał. Zwierzę wyprężyło się, po czym upadło ciężko, przygniatając mu ramię.

– Do diabła, Kale – usłyszał tuż nad sobą znajomy głos. – Nie masz nic lepszego do roboty, jak bawić się w zapasy z wściekłą pumą?

Był to Guntar.

– Niech pan łyknie jeszcze brandy, Bradbury.

Dobrze to panu zrobi. – Maks otarł rękawem szyjkę butelki i podał ją ambasadorowi.

– Ejże, przecież to ja tu jestem ranny – upomniał się Kaler, wskazując na swoją poranioną klatkę piersiową. Martwa puma leżała parę metrów dalej, przykryta brezentową płachtą.

– On ma rację, Maks – powiedział Bradbury z całą charakterystyczną dla niego stanowczością.

Helikopter służby leśnej, wezwany przez Maksa sygnałami dymnymi, był za mały, aby pomieścić wszystkich, zabrał więc najpierw do Seattle Leigh i Danny'ego. Było to prawie cztery godziny temu i trzej pozostawieni w lesie mężczyźni zdążyli już opróżnić butelkę Maksa niemal do dna.

Ponad ich głowami chmura dymu z ogniska unosiła się w kierunku wschodnim.



Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, helikopter będzie tu za parę minut, by zabrać ambasadora i Kalera.

Potem Maks weźmie Simbę do Cashmere i zrelacjonuje w zarządzie lasów, co się wydarzyło. Zwierzątko spało zwinięte w kłębek obok Kalera.

Ambasador podał Kalerowi butelkę i obserwował go bacznie, gdy pił.

– Lepiej niech pan łyknie więcej – poradził. – Kto wie, jak długo tu jeszcze posiedzimy.

– Facet, który dopiero co uprawiał zapasy z pumą, zasługuje na parę głębszych – dodał Maks.

– Macie rację – zgodził się Kaler. – Za zdrowie Danny'ego.

Chłopiec był przytomny i poruszał się, gdy umieszczali go w helikopterze. To dobry znak, powtarzał sobie Kaler, pociągając kolejny łyk brandy.

Rany na piersi wciąż krwawiły. Bradbury zrobił mu prowizoryczny opatrunek z podkoszulka.

– To ładny chłopak – zauważył Maks. – Trochę przypomina ciebie, gdy byłeś w jego wieku. – Uśmiechnął się szeroko. – A zatem i mnie, nie da się ukryć.

– Nie zaczynaj, Maks – ostrzegł go Kaler.

– Do diabła, to przecież fakty, może nie? Mój stary jest i twoim starym. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, tyle tylko, że ty zrobiłeś z niej lepszy użytek.

– Niektórzy ludzie byliby innego zdania – odparł Kaler, starając się siedzieć prosto, ale wydawało mu – się, że skała, o którą się opiera, porusza się, i każdy ruch sprawiał mu coraz większy ból.

– Niektórzy ludzie to głupcy – stwierdził Maks i spojrzał wymownie na ojca Leigh.

– Niektórzy ludzie mogli być w błędzie – odrzekł Bradbury.

– Co to ma znaczyć, u licha? – zdenerwował się Maks.

– To znaczy, że myliłem się co do tego pana. – Bradbury skinął głową w kierunku Kalera. – Bałem się, że zrujnuje życie mojej córce.

– Robiłem, co mogłem, prawda? – Kaler znów sięgnął po butelkę. Tym razem wysączył ją do końca.

– Wie pan, że ona pana kocha? – powiedział Bradbury.

– Ona tylko myśli, że mnie kocha.

Kiedy całowali się na pożegnanie, Leigh płakała i prosiła, żeby nie opuszczał szpitala, dopóki nie odbędą zasadniczej rozmowy. Zirytowała go ta prośba. Jak mógłby odjechać, nie upewniwszy się, że z chłopcem wszystko w porządku, myślał.

– Mój wnuk uważa, że jest pan swego rodzaju chodzącą encyklopedią wiedzy o górach – zauważył Bradbury.

– Dzieciak ma rację – potwierdził Maks. – Kale zna te okolice lepiej niż ktokolwiek inny. Zna je nawet lepiej ode mnie.

– Trudno w to uwierzyć – przyznał Bradbury.

– Teraz już wiem, dlaczego był pan w służbie dyplomatycznej – rzucił Kaler. Ku jego zdumieniu ambasador uśmiechnął się. Po raz pierwszy podobieństwo między ojcem a córką stało się widoczne. Może – ten stary skurczybyk wcale nie jest taki zły, jak mu się wydawało.

– Nauczyłem się tam przede wszystkim, panie Kaler, że nigdy nie powinno się podróżować bez alkoholu. – Rzucił okiem na plecak z prawej strony. – Wiem, że nie może się to równać z wodą ognistą Maksa, ale tak się składa, że mam piersióweczkę starej, dobrej whisky. Tylko ze względów zdrowotnych, oczywiście.

– Do diabła! – wykrzyknął Maks. – Proszę pozwolić, że ją wyjmę, ambasadorze.

– Z przyjemnością.

Maks podszedł do plecaka. Bradbury obserwował go uważnie, po czym skierował wzrok na Kalera.

– Panie Kaler, dlaczego nie przystał pan przed siedmiu laty na propozycję Carltona?

Kaler przez moment zastanowił się, o czym mówi Bradbury.

– Nie interesowało mnie to – burknął.

– Zachowałby pan i pracę, i dobrą opinię.

Kaler oparł głowę o granitowy blok i patrzył na unoszący się dym.

– Może coś się we mnie wypaliło – powiedział z wahaniem.

– A może nie chciał pan zniszczyć kariery Leigh...

– Nonsens.

– Carlton unieważniłby jej decyzję zwolnienia pana. Wiedział pan, że byłby to dla niej poważny policzek.

I tak to nie miało znaczenia, pomyślał Kaler. On i Leigh poszli każde swoją drogą.

– Do diabła, ja już zrobiłem, co do mnie należało, teraz jej kolej.

Bradbury patrzył to na jednego, to na drugiego mężczyznę.

– Rzeczywiście jesteście braćmi?

– Przyrodnimi. Mieliśmy tego samego ojca.

– Teraz już rozumiem, dlaczego był pan taki drażliwy na punkcie swojej

przeszłości.

– Ja?

– Ależ oczywiście. Powiedziała mi, że uważa się pan za kogoś gorszego od niej. Jest pan w błędzie. Może nie dorównuje jej pan pochodzeniem i wykształceniem, ale jest pan prawdziwym dżentelmenem, w najlepszym tego słowa znaczeniu. I to się liczy.

– Do diabła, pewno, że jestem!

– Drzewo genealogiczne musi się od czegoś zacząć. Może od was obojga i od Danny'ego?

Przez głowę Kalera przemknęła nagła myśl. Byłby durniem, gdyby nie chciał należeć do takiej rodziny. Ale również byłby durniem, gdyby myślał, że to się uda.

– Wie pan co, Bradbury? Jest pan po prostu pijany.

– Może jestem, ale znam się na ludziach. Jest pan jedynym mężczyzną, który może sprawić, by oczy mojej córki znowu nabrały blasku. Zresztą jeśli ona zechce dzielić życie z panem, to i tak zrobi wszystko, żeby postawić na swoim.

Kalerowi wydało się, że śni. To niemożliwe, żeby Winston Bradbury uśmiechał się do niego tak przyjaźnie.

– Znalazłem! – wrzasnął nagle Maks, podrzucając w górę butelkę.

Zdjął zakrętkę i pociągnął pierwszy łyk.

– Za pańskie zasługi – powiedział wręczając butelkę ambasadorowi.

– Za nasze życie i zdrowie. – Bradbury wypił i podał whisky Kalerowi. – Uratował pan życie Daniela. Ma pan za to moją wdzięczność i przyjaźń, niezależnie od pańskich dalszych decyzji.

Kaler wpatrywał się w etykietkę na butelce. Rozpamiętywał ostatnie dni, w których gorycz, pożądanie i zadowolenie przeplatały się ze sobą. I myślał o chęci życia, jaka przepelniała go tego ranka, kiedy otworzył oczy i zobaczył Leigh przytuloną do swego boku.

– Za życie – powtórzył. I za kobietę, którą kocham, dodał w duchu. Oby Bóg dał mi siłę, żebym pozwolił jej odejść. Dla jej własnego dobra.

## Rozdział 12

Leigh siedziała sztywno ze wzrokiem wbitym w podwójne drzwi na końcu korytarza. Za tymi drzwiami jeden z najlepszych zespołów chirurgicznych w Seattle właśnie kończył usuwać krwawy skrzep uciskający mózg Danny'ego.

Minęło ponad sześć godzin od chwili, gdy zabrano go na salę operacyjną. Wydawał się taki delikatny i mały na noszach przeznaczonych dla dorosłych.

– Wypij to – powiedział Kaler.

Leigh podniosła wzrok i potrząsnęła głową. Kaler miał na sobie kitel pożyczony od jednego z lekarzy, na szyi bandaż. Był bardzo blady.

– Nie mogę. Po prostu robi mi się niedobrze, jeśli wypiję jeszcze trochę kawy.

– To rosół. Dobrze ci zrobi.

– Nie, nic mi nie jest.

– Akurat! Przez ostatnich parę godzin byłeś jednym kłębkim nerwów. – Włożył jej w dłoń kubek. – Pij.

Wiedziała, że nie ustąpi. Wypiła niewielki łyk. Zupa była wprawdzie za gorąca i za słona, ale przyjemnie ją rozgrzała.

– Dzięki – bąknęła, czekając niecierpliwie, by wreszcie usiadł. Był przecież poważnie ranny.

Kiedy helikopter wreszcie przywiózł jego i ambasadora do szpitala, Kaler był wyczerpany i zamroczony – z powodu alkoholu i upływu krwi. Lekarz opatrzył go i kazał mu się położyć. Nie miał na to ochoty, ale whisky i środek uspokajający, jaki podali mu przy transfuzji, zrobiły swoje.

Wyspał się, a kiedy przyszedł do siebie, poszedł szukać Leigh. Znalazł ją w poczekalni bloku operacyjnego. Wyglądała na zagubioną i zmęczoną i jeszcze bardziej niż puma zaniepokojoną losem swego dziecka.

– Są jakieś wieści? – zapytał wskazując wzrokiem podwójne drzwi.

– Wciąż jeszcze nie odzyskał przytomności – potrząsnęła głową Leigh. – Lekarz mówi, że operację zniósł dobrze, nie ma żadnych komplikacji, tyle że wciąż jeszcze śpi.

– To dla niego najlepsze. Obudzi się, gdy przyjdzie pora.

– Widziałeś ojca? – Leigh upiła jeszcze łyk zupy.

– Tak, pielęgniarka mówiła, że będzie spał jeszcze dobre parę godzin.

Gdy tylko przybyli do szpitala i ambasador dowiedział się, że jego wnuk ma przejść operację, ciśnienie podskoczyło mu niebezpiecznie i neurochirurg zalecił

łóżko i dwudziestoczęterogodzinny odpoczynek.

– A co z tętniakiem?

– Ojciec ma wyznaczone badanie na jutro rano. Dobrze, że jest już w szpitalu.

– Nie martw się o niego. Jeśli się nie mylę, zamierza jeszcze trochę pożyć.

– Pani Williams, czy mogę już zobaczyć syna? – zapytała Leigh przechodzącą właśnie obok nich pielęgniarkę.

– Jeszcze nie. Wciąż śpi, ale wszystko jest w porządku. Jak tylko się obudzi, przyjdę po panią.

– Dziękuję.

– Pielęgniarka zniknęła za drzwiami sali chorych. Leigh głęboko zaczerpnęła powietrza i nakazała sobie cierpliwość.

– Danny jeszcze nigdy w życiu nie był w szpitalu. Będzie przerażony, kiedy się obudzi i nie zobaczy mnie przy sobie.

– Jest dzielny, jak jego mama. Wytrzyma to. – Kaler ujął ją za rękę. Poczul, jak mocno zacisnęła palce. Były lodowate.

– Znow krwawisz – zauważyła, spoglądając na bandaż opasujący jego szyję.

Wzruszył ramionami, starając się za wszelką cenę opanować przejmujący ból.

– Jestem silnym facetem. Mogę stracić trochę krwi. Nic mi nie będzie. – Siedział sztywno, ruchy utrudniały mu dwa złamane żebra, zwichnięty nadgarstek i ponad sto szwów na klatce piersiowej.

– Uratowałeś Danny'emu życie.

– To ja pchnąłem go na tę przeklętą skałę, ot, co zrobiłem. – Nachmurzył się. Wciąż jeszcze dręczyło go poczucie winy, bardziej bolesne niż złamane żebra.

– Gdybyś tego nie zrobił... – Leigh wyobraziła sobie pumę rozrywającą drobne ciało Danny'ego i zadrżała. – Mówiłeś, żeby nie ruszać tego kociaka. Nie posłuchałam. Nigdy nie słucham dobrych rad.

Zacisnęła palce na plastikowej filiżance. Bał się, że ją zgniecie. Odebrał ją i próbował wyrzucić do kubła. Stał wprawdzie niedaleko, ale był prawie nieosiągalny dla człowieka w tym stanie.

– Nigdy nie pozwalasz, by ktoś ci pomógł, co? – zapytała, gdy wreszcie wrócił.

– Nie lubię korzystać z pomocy.

– Czy jesteś pewien, że Maks doprowadzi Simbę do tej strażniczki z ochrony dzikich zwierząt?

– Nie, ale jestem pewien, że pilot przekaże wiadomość Rusty. Już ona dopilnuje Maksa, nie bój się.

– Tak mi żal matki małego... Wiem, co czuła widząc, że jej dziecko jest w

niebezpieczeństwie.

– Tak to się dzieje w naturze – wyjaśnił łagodnie, ujmując jej dłoń.

– Byłam pewna, że postępuję słusznie... Wiem, że to nieodpowiedni czas i miejsce i nie jest mi łatwo to wyznać, ale jest coś, co musisz wiedzieć, coś, co powinnam była ci już wcześniej powiedzieć – przerwała i zaczerpnęła tchu. – Danny nie ma jeszcze sześciu lat. Ma dopiero pięć i nie jest twoim synem. Skłamałam, bo chciałam, żebyś mi pomógł.

Oczekiwała pogardy, tymczasem zobaczyła w oczach Kalera czuły uśmiech.

– Ja... dlaczego właściwie nie wściekasz się na mnie i nie obrzucasz mnie tymi wszystkimi epitetami, jakimi ja obrzucałam ciebie?

– To nie w moim stylu.

– Ależ ja skłamałam z premedytacją. Wykorzystałam cię. – Rozpacz, jaką wyczuwało się w jej głosie, sprawiła, że zaczął żałować każdej gorzkiej myśli, jaka nasunęła mu się w czasie minionych dni.

– Wiem, Hank. Wiedziałem o tym od początku. Chciałem tylko, żebyś ty sama mi o tym powiedziała.

– Skąd mogłeś wiedzieć? – zdziwiła się.

W tym momencie Kaler uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nikomu nie powiedział tego, co zamierzał teraz wyznać Leigh. Może dlatego, że nigdy tak do końca się z tym nie pogodził. Sama myśl o tym sprawiała, że robiło mu się gorąco i oblewał go zimny pot.

– Niełatwo mi to wyznać, ale nie mógłbym ci dać dzieci, nawet gdybyś mnie o to błagała. Jestem bezpłodny od czasu Wietnamu. Skutki infekcji. To nieodwracalne. Dlatego tak się broniłem, kiedy chciałaś mieć dziecko.

– Ale... ale skoro wiedziałeś, że kłamię, to dlaczego zgodziłeś się pójść na poszukiwanie Danny'ego?

– Bo nie mogłem winić cię za to, że ochraniasz swe dziecko, tak samo jak nie mogę winić tej pумы. Potrzebowałaś mnie.

Rozpłakała się.

– I nadal cię potrzebuję – szeptała przez łzy. – Tylko że ty mnie nie potrzebujesz.

– To nieprawda, ty też jesteś mi potrzebna. Ale mężczyzna powinien móc zaoferować kobiecie coś więcej niż tylko to, że jej potrzebuje. Nie mógłbym ci nic dać. Nawet dziecka.

– A co powiesz na porcję zdrowego humoru, gdy zacznę traktować siebie zbyt poważnie, i na szerokie ramiona, na których można się wesprzeć, gdy życie staje

się zbyt straszne? – zaproponowała z uśmiechem, patrząc mu prosto w oczy. – A na silne ręce, które podtrzymają mnie, gdy będę słaba i bezradna?

– To nie wystarczy – przerwał.

– Wyszłam za męża za Edwarda, bo kochał mnie od czasu gdy skończyliśmy szesnaście lat. Czułam się samotna i zagubiona. Był bogaty, dobrze urodzony i bardzo dobry. Miał wszelkie możliwe stopnie naukowe i znakomitą praktykę jako prawnik. Jego korzenie sięgały nawet głębiej w stare Południe niż moje. Jak kiedyś powiedziałaś, znakomita partia. Ale gdy zmarł i samotność znów stała się dojmująca, to właśnie za tobą zaczęłam tęsknić, to do ciebie chciałam – się tulić w nocy, to z tobą chciałam być blisko. I nadal chcę. A jeśli odejdziesz, złamiesz mi serce.

Kaler wiedział już, że nie może mieć wątpliwości. Nie był w stanie myśleć o niczym innym jak o Leigh i o małym chłopcu, który leżał za podwójnymi drzwiami.

Nagle rozległ się trzykrotny cichy gong, po którym melodyjny głos wezwał rentgenologa. Leigh popatrzyła na drzwi akurat w momencie, gdy wychodziła z nich pielęgniarka. Uśmiechnęła się.

– Dobra wiadomość. Danny się obudził i pyta o panią. Mamy dziesięć minut na umieszczenie go w jego pokoju, a później mogą państwo do niego pójść. Pokój 624, w południowym skrzydle.

– Czy dobrze się czuje? – zapytała Leigh.

– Oczywiście. Prawdę powiedziawszy, jest głodny. Chciał, żebym mu coś przyniosła od McDonalda, i chętnie bym to zrobiła, gdyby tylko było można. Pana syn umie człowieka zaczarować – zwróciła się do Kalera.

– Prawdopodobnie zrobi nam jeszcze niejeden kawał, zanim skończy dziesięć lat – odparł Kaler zakłopotanym tonem.

– Możecie na to liczyć – uśmiechnęła się pielęgniarka znikając za drzwiami.

– A więc mam świadka – oznajmiła Leigh przez łzy.

– Uważaj – ostrzegł. – Przyzwyczailem się do samotnego życia, zimną nie golę się nawet pod groźbą tortur i zupełnie się nie nadaję do przyjęć towarzyskich.

– Słusznie to zauważyłeś.

– Nie zamierzam też opuszczać gór.

– Znajdę tutaj pracę w służbach celnych, jeśli mi się uda. Jeśli nie, to jestem na tyle zarozumiała, by – wierzyć, że znajdę coś innego. Kto wie? Może założymy agencję ochrony dzikich zwierząt albo będę gotowała twoim wędkarzom.

Łzy spływały jej po twarzy. Ocierała je wierzchem dłoni.

– A co na to Danny? Może nie będzie zachwycony pomysłem obdarowania go nowym tatusiem?

– Zapytajmy go.

– A jeśli powie „nie”? – zapytał z niepokojem.

– Nie powie. Jest podobny do swojej matki. Lubi wyzwania. – Pocałowała Kalera czule w policzek. – A ty, mój kochany przyszły mężu, jesteś takim wyzwaniem.

Kaler poczuł nagle oszałamiające wprost szczęście. Wiedział, że mężczyzna powinien ukrywać swe doznania. Czyż nie robił tak zawsze? Oczywiście, z wyjątkiem tych chwil, gdy Leigh patrzyła na niego z niemą obietnicą w oczach.

– Są pewne warunki tego układu – powiedział obcesowo, ale tracił już pewność siebie.

– Jakie? – Usta jej zadrżały.

– Gdy tylko się pobierzemy, ty i Danny przyjmiecie moje nazwisko.

– Zgoda. Co jeszcze?

– Obiecasz, że nigdy więcej nie przyrządzisz mi kawy. Kocham cię ponad życie, Leigh Bradbury, ale twoja kawa jest okropna.

Świat zawirował jej przed oczami. Pewnego dnia wyzna jej miłość wprost, a nie rzuci tak mimochodem. Doczeka się tego, choćby miała czekać całe życie.

– Na twoim miejscu uważałabym z krytyką. Mój żołądek wciąż jeszcze próbuje strawić tę twoją jajecznicę a la Kaler. – Leigh gotowa była krzyczeć ze szczęścia. Syn będzie zdrowy, a mężczyzna, którego kocha, właśnie wyznał jej swoje uczucia.

– Myślę, że popełniłem właśnie ogromny błąd. Jak, u licha, mogę być tak zwariowany na punkcie kobiety, która nie docenia moich talentów?

– Chodź, tatusiu – roześmiała się. – Zobaczymy, co u naszego syna. A później zrobię wszystko, by ci pokazać, który z twoich talentów doceniam.

– Znowu szefujesz?

– Oczywiście. Masz coś przeciwko temu?

Kaler usiłował coś wymyślić, ale nie dał rady. Więc tylko ją pocałował.